



№ 34.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 19 sierpnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru: Dominik Magnuszewski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityczny. — Wiązanie przy żniwie (drzeworyt). — Uczta u Diderota (z drzeworytem). — Szkice humorystyczne Franciszka Kostrzewskiego (drzeworyt). — Świętopełk, książę Pomorza gdańskiego (dokończenie). — Najdawniejsze imiona męskie i żeńskie w Polsce. — Poeta (wiersz). — Poradnik dla kupujących książki. — Kronika zagraniczna. — Przejazdka po Kurlandyi. — Opozycja w Rzymie za cesarów (dokończenie). — Sztuka włoska w epoce odrodzenia. — Instykt i inteligencya zwierząt (dalszy ciąg). — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

DOMINIK MAGNUSZEWSKI,

Czterdzieści lat dobiega, jak na widokrepu naszej literatury pojawił się poeta, którego utwory, nacechowane piętnem prawdziwej genialności, zwróciły na siebie powszechną uwagę. Krytyka społeczna wysoko je ceniła, a publiczność chwytła pożądlwie każdy nowy utwór pisarza, posiadającego tyle cech oryginalnych i taką potęgę natchnionego słowa. Tym poetą, tak wysoko w swoim czasie cenionym, miano wicie w sferze dramatu historycznego, był Dominik Magnuszewski. Dzisiejszemu pokoleniu mniej znane to imię, a echo społecznej sławy i uwielbienia przebrzmiało w połowie, skutkiem nieprzyjanych okoliczności, które sprawiły, że najcenniejsze z dzieł jego pozostały dotąd w ukryciu, wcale nieznane publiczności, inne zaś, drukowane za życia poety, nie doczekawszy się zbiorowego wydania, utonęły w niepamięci, rozproszone po różnych czasopismach.

Magnuszewski żył w czasach nieprzyjanych wogóle rozwojowi literatury, i tej to przyczynie przypisać należy, że większa część pism jego i to część można powiedzieć najlepsza, będąca najsilniejszym wyrazem jego natchnień, uczuć i tendencyj, pozostała nieogłoszoną w tece autora. Żywoć Magnuszewskiego, tak pod względem pracy ducha, jak i materialnych wogóle stosunków, był jednym ciągiem trudu, boleści i zawodów, nieustanną walką z przeciwnościami, pośród których tworzył geniusz poety nowe torował sobie drogi. Żywoć to niebogaty w wypadki, ale tém obfitszy w przykrości, cierniowy i siérocy od lat najmłodszych.

Magnuszewski, dzieć Warszawy, urodzony w roku 1810, chował się początkowo przy rodzicach w Ustanowie, wsi dziedzicznej ojca, o cztery mile od Warszawy odległej. Po śmierci matki,

czterolatnie dzieć wiał na wychowanie do siebie dziad po matce, Borakowski, stały mieszkaniec Warszawy. Tu więc, w tym samym domu na Krakowskim przedmieściu, gdzie się urodził, spędził Magnuszewski najpiękniejszy wiek młodociany; tu pobięrał nnuiki najprzó w liceum,



Dominik Magnuszewski.

wersytetu, po krótkim pobyciu za granicą, osiadł Magnuszewski w Galicyi na Pokuciu, w prześlizcznej okolicy nad Prutem, gdzie już dokońca życia pozostał, zwracając się zawsze tęskną myślą do rodzinnej Warszawy. W Żaluczu i Chomiakówce przepędził kilkanaście lat życia, pełnego dolegliwości, osłodzonego krótkimi tylko błyskami chwil szczęśliwszych, upadając na zdrowiu, w nieustannej pracy i walce ducha, rozrywającego burzą myśli chorowity, znękanym organizm. Tam stworzył on najpiękniejsze swe dzieła, tam przepędził najszczęśliwsze i najboleśniejsze chwile życia. Skazany na ciągłe walki, do których potrzeba było praktyczności, a tej nie posiadał poeta, żyjący myślą w sferze ideału. Tam ożenił się z osobą, która mu na chwilę boleści życia osłodziła promieniem szczęścia domowego i tam też niebawem

Szczęście go pożęnało
Trumieneczką jedną... małą...

Józef Dzierzkowski w *Powieści o życiu poety*, której przedmiotem jest Magnuszewski, napisanej pod świeżym wrażeniem jego śmierci, tak opisuje swoje z nim poznanie się i pobyt w Żaluczu:

„Pamiętam, jakby to dziś było, gđym raz pierwszy Magnuszewskiego poznał. Było to w późnej jesieni, wśród liści żółkłych, które wiatr unosił na zmęczone Prutu wody; poznałem go bowiem na owym Pokuciu naszym, nad brzegiem tej rzeki historycznej, która mu potem tyle cudnych naszemrała w ucho wieści o wołoskich wyprawach, o bukowińskiej potrzebie. Były to dni posępne, więcej niż posępne. I pamiętam

następnie na wydziale prawnym uniwersytetu; ztąd wyniósł zasób najmilszych wrażeń młodości, którą z prawdziwie sympatycznym wdziękiem opisał w jednym ze swych szkiców, kręślącym ówczesne studenckie życie warszawskie.

Opuściwszy Warszawę przed ukończeniem uni-

silne wrażenie, jakie na mnie zrobił całą postawą i twarzą swoją. Błady, chudy, skureczony, z twarzą młodą, a staremi zmarszczkami, temi smugami, któremi znaczy swój pochod ława wewnętrzna, wydał mi się dziwnie pięknym, bo na czole jego była myśl, ta prawdziwa korona ludzka; w oczach

jego był blask wyższości umysłowej, prawdziwy blask wyższości arystokratycznej. Życie pracowite obudzonej duszy, walka myśli z ciałem, wyraźnym alfabetem wypisane były na tej twarzy, nie nie mówiącej dla drugich, którzy nigdy nie sylabizowali alfabetu uczuciowego. Cierpienie występowało widocznie z lic wychudzonych. Żal mimowolny ścisnął serce moje, żal przecuciowy, jaki nieraz rozbudza twarz, na których, rzeczby można, Baltazara głoskami wypisany smutek i krótka ich przyszłość. Bo to gliniane naczynie, w którym mieszkała dusza Magnuszewskiego, było bardzo słabe. A bezkarnie nie można być poetą; od ognia który w nim płonie wnet się naczynie popsuje, popęka i rozerwie.“

Następnie zaś spotkanie tak znów opisuje Dzierżkowski:

„W lat kilka po pierwszym poznaniu się naszym odwiedziłem go w tymże samym Załęczu. A było to na wiosnę. Uroczą tej okolicy przyroda jaśniała wszystkimi barwami najpiękniejszymi, pośród zieloności ogrodu oplukanego wodami Prutu. Wśród woni wiosennej, wśród śpiewu wesołego ptaków, owiany powietrzem, które nam z gór przypływało wolne i świeże, staliśmy naprzeciw siebie smutni jednym smutkiem, smutkiem który chylił czoło jego ku ziemi. Jakże był zmieniony! Ni wesołej swobody na czole, ni uśmiechu na twarzy; oczy tylko jego błyskały promieniem, w którym walczyło natchnienie z przecuciem śmierci, ogień życia z gorączką choroby.“

Po stracie jedynego dziecięcia, po śmierci żony, życie stało się Magnuszewskiemu prawdziwym ciężarem, przeciwności dotkliwszymi. Suchoty rozwinęły się i coraz pośpieszniej odbierały się do pracy. Pomimo tego gorączka myśli wrzała w nim gwałtownie, podsuwając fantazyi poety mnóstwo dzieł nowych i coraz inne pomysły, dopóki pióro z bezwładnej ręki samo nie wypadło na łożu śmiertelnym. Z wiosną 1845 roku doniosły piśma ówczesne o skonie Dominika Magnuszewskiego, a wiadomość ta żałobą przejęła koła literackie, z których ubywał potężny talent, twórca nowej epoki dramatu polskiego.

Bo i czemuż był przedtym dramatem u nas, manierowany na wzór pseudoklasycyzmu francuskiego, jeżeli nie pozbawiona ducha klójka, niemająca ani kolorytu historycznego, ani wyrazu prawdy, potężnym przemawiającej wrażeniem. Potoczność wiersza, gładkość deklamatorska formy, oto główne cechy dramatu ówczesnego. Najznakomitsze nawet dzieła, uwielbiane i z powszechnym przyjmowaniem zapalem, jak *Barbara Felińskiego*, *Gliński* i t. d., nie różniły się z tym względem od innych, nie wyzwoliły się z pod ogólnej cechy, piętnującej cały kierunek ówczesnego klasycyzmu.

Magnuszewski pierwszy u nas poczuł w całej rozległości warunki i zadanie dramatu historycznego i postanowił utworzyć mu nowe drogi w teorii i praktyce. Ogłoszona w tym przedmiocie rozprawa jego: *O dramacie polskim*, pełna zdrowego poglądu, rzuciła nowe światło, wskazała nowe, prawdziwe tory literackiej twórczości autorom dramatycznym. Z całą siłą przekonania i jasnego widzenia rzeczy wskazał Magnuszewski, że dramat historyczny powinien być wiernym obrazem epoki, odzwierciedleniem ducha czasu, że pierwszym zadaniem pisarza dramatycznego jest wierne oddanie tła historycznego, tudzież charakterów i namiętności objawiających się w działaniu, a nie w deklamatorskiej frazeologii urzędowego trzynastozgłoskowego wiersza.

Tak pojmując zadanie dramatu, postanowił Magnuszewski urzeczywistnić wymarzony ideał i stworzyć historyczny dramat polski. Rozległe ku temu otwierało się przed nim pole. Z gorączkową chęcią rzucił się do studyów historycznych, jako do źródła dostarczającego zasobu, śledził ducha przeszłości, badał koloryt czasów, wsłuchiwał się w lat ubiegłych echo, podchwytywał jego tony i dźwięki, wiążące się w jego duszy w pełne, wspańskie akordy. Oddany studiom dziejowym, przejął się do głębi duchem przeszłości i żył z nią niejako. Pierwszy on u nas wypowiedział i okazał

dzielałi swojemi, na czem zależy historyczność w dramacie i jak historyczne dramata i powieści pisać należy. Uprzedził w tym Korzeniowskiego, który dopiero w lat kilka po *Radziejowskich* napisał swojego *Mnicha*, nie mówiąc już o innych, znacznie późniejszych dramatach treści historycznej. Słusznie więc Magnuszewskiemu należy się sława i nazwa twórcy dramatu historycznego u nas; bo równoczesne dramata Słowackiego, pełne poetyckiej piękności, są raczej fantasmagoryami dramatycznymi, a nie dramatami historycznymi.

Toż samo da się powiedzieć o Magnuszewskim i co do powieści historycznej. Wszystko co na tym polu posiadała przedtym literatura, nie mówiąc już o *Pojazie* i *Nalęczu* Bernatowicza, taki nawet *Jan z Tęczyna*, wszystkie wreszcie uwielbiane w swoim czasie niemieckie powieści historyczne Bronikowskiego, czemuż są pod względem architektoniki artystycznej, malowidła czasów i ludzi, pod względem pojęcia i oddania w sposób pełen wybitnej charakterystyki ducha epoki, w porównaniu z *Zemstą panny Urszuli*, z *Obrazem Lwowa z roku 1449* i innymi historycznymi powieściami Magnuszewskiego, w których po raz pierwszy magicznym natchnienia poetycznego zaklęciem odślonił się przed nami świat przeszłości, w całej swój poważnej a prawdziwej postaci? Bohaterowie Magnuszewskiego są jakby z marmuru kowane olbrzymy, taka w nich podniosłość ducha i plastyczność rysunku. Takim jest jego *Władysław Biały, książę gniewkowski*, rycerz a mnich po połowie, z butą samowładczą i nieposkromionym ogniem namiętności w duszy; takim bohater *Czarniecki*, wielki w swój prostocie i rycerskiej skromności, takim *Radziejowski* zdrajca, miotany burzą pokus i wyrzutów sumienia, i inni. Magnuszewski posiada styl sobie właściwy, swój odrębny język, chropawy lub miękki, wedle natury przedmiotu, przechodzący od najsurowszych w najpięszotliwsze tony, cieniowane z misternym artyzmem.

Z większych jego utworów ogłoszona była drukiem jeszcze za życia autora tylko *Niewiasta w trzech wiekach*, trylogia złożona z dwóch powieści i jednego dramatu—rzecz oryginalnie pomysłana i pełna wysokich piękności. Dopiero zapowiedziane obecnie zupełne wydanie dzieł Magnuszewskiego, drukujące się we Lwowie nakładem księgarni W. Zawadzkiego, na które niedawno i w Warszawie została ogłoszona przedpłata, okaże nam talent jego w pełnym blasku, przedstawi zupełny obraz twórczej jego działalności i dozwoli ocenić należycie zasługi i literackie stanowisko zawczasie zgasłego poety.

Kronika tygodniowa.

K r a j o w a .

Jeszcze w kronice zeszłego tygodnia, mówiąc o niedbalstwie opieki rodzicielskiej nad młodzieżą szkolną, napomykaliśmy o smutnych wieściach. Wieściom tym wówczas nie chcieliśmy dać wiary, bo też kryły w sobie potworność straszną. Ale niestety!... okazały się one prawdziwymi.

Troje dzieciaków, zepsutych zbyt wcześnie, schwymano na gorącym uczynku rabunku i świętokradztwa. Dobranym kluczem otworzyły one sobie drzwi kościelne, w zamiarze złupienia skarboni świątyni; najzwyczajniejszy jednak traf zdradził ich zbrodnicze działanie i dzisiaj zepsute te dzieci siedzą już w celach więziennych.

Kto temu winien?

Rzucamy to pytaniem, którzyby na nie przed Bogiem, ludźmi i sumieniem własnym odpowiedzieć mogli;—nas ono przeraża, równie jak sama domniemana odpowiedź, która wskazywać się zdaje zaniedbanie najpierwszych i najświętszych obowiązków. O wy wszyscy, którzy dzieci macie, zastanówcie się nad tym bolesnym faktem! Zaprawdę, nie zdaje się on krwawym odbłyskiem baltazarowych głosek, owęj wróżby, która w duszę pada głazem zraty?

Na szczęście, obok tej potwornej plamy; wrychle zajaśniało i czyste, promienne światło dziecięcej niewinności. Jakiś poczciwy młodec znalazł pugilares ze znaczną sumą i wiedziony szlachetnym popędem do dobrego, natychmiast złożył rzecz znaną na ręce władzy policyjnej, aby ją zwrócono prawemu właścicielowi. Dziecię to więc nie uległo pokusie, której wielu ludzi dorosłych i... niby uczciwych oprzeć się nie mogło, pod wpływem jedynie fałszywych wyobrażeń o prawie znalazcy. Bez wahania się zacny chłopiec postąpił tak, jak postąpićby musiał w podobnym razie każdy człowiek prawy i rozumny. To też wróży to o jego przyszłości dobrze i jesteśmy pewni, że to dziecko wyrośnie na zacnego członka społeczeństwa. Dało ono piękny przykład rówieśnikom i oby znalazło naśladowców!

* * *

Kłeska pożarów, chociaż później niż lat zeszłych, trapi jednakże miasta nasze. Kronika nieszczęść z kilku ostatnich tygodni notuje ich kilkanaście; największy pożar dotknął Łódź, w której spłonęła w połowie fabryka Szejblera, a szkoda ztąd powstała sięga 600,000 rubli. W Tykocinie spaliło się czterdzieści domów mieszkalnych, prócz zabudowań gospodarczych. Dubienka straciła sześć domów w skutek pożaru, w Częstochowie zaś wybuchł ogień trzykrotnie, w ciągu dni pięciu.

We wszystkich tych miastach opinia mieszkańców skłania się bardzo do podejrzeń, iż pożary powstawały w skutek podpalania. Ile w takich podejrzeniach jest prawdy, powinno wykazać śledztwo sądowe; to jednak pewna, że nie wszędzie niezawodnie jedynym i wyłącznym powodem kłeski jest podpalenie.

Na Pradze ogień w ciągu dwóch dni wybuchł trzykrotnie, aż przy zwiększonej uwadze i ostrożności schwymano jakąś dwunastoletnią dziewczynę, posądzoną o podpalenie. Znowu więc przestępca nieletni!..

* * *

„Kuryer warszawski“ w numerze środowym zamieścił artykuł „O młodych dziewczynach, oddających się żebractwu“, a autor artykułu wystąpił w nim z projektem utworzenia zakładu dla takich dziewcząt, w którym przyuczałyby się one do pożytecznej i moralnej pracy.

„Do zakładu—mówi Kuryer—mającego na celu wychowanie i poprawę zarazem dziewcząt biednych, oddających się żebractwu, przyjmowane będą te ostatnie od 4 do 14 lat wieku i pozostawać tam mają do lat 16 skończonych.

„Oprócz różnego rodzaju zajęć domowych, wychowanki zakładu kształcać się w tych rzemiosłach, które w przyszłości mogą dać im chleb w rękę. Nadto uczą się tu one ogrodnictwa, pielęgnowania drobiu, przygotowywania nabiału i t. p.

„Tym sposobem z zakładu wychodząc będą nie tylko uzdolnione rękodzielniczki, ale nadto i dobre służące, kucharki, pokojówki i t. p. Część zarobku wychowanek obraca się na zapomogę dla nich przy wyjściu z zakładu, a nawet i po jego opuszczeniu wychowanki, w razie naglącej i usprawiedliwionej potrzeby, mogą się tu zwracać o pomoc odpowiednią.

„Taki jest mniej więcej cel i program zakładów wychowawczych dla dziewcząt biednych, nadsyłanych za żebractwo—zakładów które z pożytkiem istnieją już gdzieindziej“

Następnie autor zwraca się do pań naszych, żądając od nich poparcia dla swojego projektu. Powiada on, i bardzo słusznie, że „im więcej będziemy mieli dziewcząt żebractek, tym więcej będzie zastęp kobiet upadłych, tym więcej trucizny w nadwątlonym już i tak organizmie zbiorowym.“

Pewną jest rzeczą, że pomimo tysiąca projektów, pomimo licznych rozpraw o kwestyi żebractwa ulicznego, rana ta społeczna nietylko że się nie goi, ale jątrzy się coraz bardziej. Żebraków-dzieci na każdym prawie kroku spotykać można, a między nimi dziewczęta stanowią liczbę niemałą. Żebractwo jako rzemiosło nabiera coraz większego waloru... zamienia się w zwyczaj u klas

najniższych, a wyciąganie ręki przestaje być upokorzeniem i hańbą, Dzieci w rzemiośle têm tracą wstyd, a nabierają najzgrabniejszych nałogów. Tą drogą idą one w logicznym rozwoju swoich ścieżek do więzień i załków ostatniej nędzy moralnej. Stroma to i pawna szkoła zepsucia, które później społeczeństwu zbyt drogo opłacać przyjdzie, aby dzisiaj nie chciało zapobiedz przewidywanym szkodom niewielką ofiarą i współdziałaniem. Czyż wykonanie myśli Kuryera warszawskiego byłoby tak trudne?

Scena warszawska dotąd była gościnnym bardzo polem popisów dla najrozmaitszego uzdolnienia debiutantów. Słyszeliśmy już na niej śpiewaków bez głosu, tragiczków bez grozy i kochanków bez... miłości, i przyszło nareszcie do tego, że trzy gwiazdki przy nazwisku aktora, ukazujące się na afiszu, zdolne są odstraszyć najwytrwalszych i najzapalniejszych wielbicieli teatru.

Istotnie na debiutach bez przebiegania między debiutantami ani teatru, ani publiczność dobrze nie wychodziły. I sami też debiutanci, spotykając przy pierwszym kroku na scenie obojętność ze strony publiki, zrażeni chłodnym przyjęciem, tracili odwagę do stąpania po drodze kariery scenicznej. Niezdolni szkodzili zdolnym, a wszyscy razem, zgóry już, choć niesprawiedliwie, osądzeni, pokutować musieli za zbyt szczerą gościnność teatru warszawskiego.

Działo się to z powodu kierowania się zarząd teatralnego zasadą, że debiutantom potrzeba pozostawić zupełną swobodę działania i całkowitą odpowiedzialność za pierwsze kroki na scenie. Zasada w gruncie rzeczy piękna, ale niepraktyczna, jak tego dowiodły skutki.

Obecnie reżysera postanowiła wziąć w ręce bezpośredni kierunek debiutantami. Młodzi aspiranci sztuki będą musieli nadal usprawiedliwić swoje prawa do publicznego występu najpierw przed zarządem sceny, co pozwoli zapobiedz debiutom... straconym. Ten tylko puszczonym będzie na scenę, kto ma odpowiednie ku temu warunki, a publiczność zyska tym sposobem pewność, że wysłuchanie gry debiutanta nie będzie dla niej przykrością i stratą niepotrzebną kilku godzin.

Zgasła zawczasie przed dwunastu laty *Zofia Kaplińska* była niezawodnie jedną z najsympatyczniejszych autorek naszych, chociaż imię jej nie miało szerokiego rozgłosu, ukrywała się bowiem skromnie pod kryptonimem Z. I. A.

Dawni a stali czytelnicy naszego Tygodnika pamiętają zapewne śliczne jej obrazki powieściowe, drukowane w nim od r. 1860 do 1864, jak: „Zapóźno“, „Kopciuszek“, „Nigdy“, „Przedtém i potem“. Urywki te odznaczają się głęboką znajomością serca niewieściego, charakterystyką żywą i trafną, niepospolitym wdziękiem słowa, a przytém zdrowiem moralnym i prawdą życiową rzeczywistością, nie tą konwencyonalną, pozorną pół-prawdą, którą spotykamy w wielu nowszych utworach powieściowych. Znać w tych obrazkach s. p. Kaplińskiej wpływ Gabryeli, z którą nieboszczka w ścisłych zostawała stosunkach, ale wpływ samodzielnie na własny ład i sposób urobiony.

Otóż obecnie rodzina zmarłej autorki przystąpiła własnym nakładem do ogłoszenia jej pamiątki literackiej. Pośmiertne to wydanie składać się będzie z czterech tomów, z których pierwszy, puszczony już w obieg, przeznaczony jest dla dzieci; drugi obejmie rady i nauki dla służących, streszczone z wykładów, które nieboszczka przez lat kilka, w dnie niedzielne i świąteczne, dla dziewcząt tej warstwy społecznej mięwała; tom trzeci zawierać ma utwory literackie, po większej części w Tygodniku naszym drukowane, z dodaniem kilku nieznanych; czwarty nareszcie poświęcony zostanie wyłącznie pozostałym w rękopisie pamiątkom s. p. Zofii, p. t. „Moje życie wewnętrzne“, w których, jak tego spodziewać się mamy prawo, wolno nam będzie zajrzeć w najskrytsze tajniki wewnętrzne tej czystej, kochającej, a głęboko religijnej duszy niewieściej.

O wartości literackiej i pedagogicznej tego wydania nie tutaj miejsce się rozszerzać; przekonani jesteśmy, że, w dzisiejszych zwłaszcza okolicznościach, przy braku unas *dobrych* książek dla dzieci i dorastających panienek, znajdzie się ono w ręku wszystkich rozumnych rodziców i troskliwych przewodników młodego pokolenia.

Po wyjściu tomów następnych, zdamy z nich obszerniejszą sprawę, pod rubryką właściwą.

Pan Grabiński na scenie Alkazaru przedstawił w tych dniach nową komedią Bałuckiego p. t. „Pozłacana młodzież“. Tytuł to wyborny, zapowiadający wiele... lecz p. Bałucki nie zdołał obietnicy, danej w tytule, dotrzymać i zbudował komedią bez prawdopodobnej akcji, o typach przesł zonych, lub też namalowanych nienaturalnymi barwami, bez dowcipu, ale zato z conceptami, w których ani nowości, ani swobody odnalazć nie było można.

Najlepszą sztuką Bałuckiego byli „Radzcy pana radzcy“, następne są już po części reminiscencyami tej pierwszej komedyi. W „Pozłacanej młodzieży“ jednakże autor pozostał... *wtyle za sobą samym*. Znać tu nieobmyślenie, robotę bardzo pośpieszną, zbytnią rachubę na własny talent i twórczość, która jednak nie pomogła autorowi wybrnąć z formy i wejść na pole istotnej komedyi. I gdyby to jeszcze talent i rutyna Alkazarowych *artystów* mogły poratować sztukę; ale gdzie tam! W Alkazarze grywa się jak Bóg da, bo trzeba nade wszystko myśleć o... kasie. To cel jedyny tej scenki ogródkowej, na której po to tylko błakają się sztuki oryginalne, by swoim autorom przynieść niezadowolone wybródniejszej publiki.

„Tivoli“ przygotowuje „Emigracyą chłopską“ Anczyca, pod jego osobistym kierunkiem. Wybor-na ta sztuka niezawodnie tłumy widzów ściągać będzie.

Na scenie warszawskiej niezadługo ukaże się konkursowa sztuka Zygmunta Sarneckiego p. t. „Dworacy niedoli“, a następnie i Szekspirowski „Makbet“.

„Głos“, mówiąc o sztyderstwie, z jakim prasa niemiecka traktuje sprawę południowych Słowian, toczących straszną i krwawą walkę o niepodległość, dodaje że i nasze społeczeństwo dla tych nieszczęśliwych ma tylko bezlitosną ironią... Twierdzenie to dziwnie brzmi w szpaltach „Głosa“, który w arsenale swjej dziennikarskiej broni nie samo tylko społeczeństwo dla niedoli posiada, a dziwniej jeszcze i dlatego, że pismo to nie umiałoby wskazać żadnej rzeczywistej podstawy dla słów swoich. Przeciwnie twierdzeniu temu jaknajgoręcej protestujemy. Nie w naszym-to charakterze natrząsać się z czyjegokolwiek nieszczęścia; sympatye nasze dla walczących o przyszłość swą Słowian są równie gorące, jak życzenie spokoju i swobody dla wszystkich plemion szczepu słowiańskiego. „Głos“ wie o tém dobrze a jeżeli wiedzieć nie chce, to zapewne dlatego tylko, iż mu z tém wygodnie. Zasada bardzo słuszna, gdzie idzie o interes własny, ale wobec niej czémże są szumne słowa i zapewnienia bratnich uczuć dla nieszczęśliwych bojowników południa?...

Przegląd polityki zagranicznej.

18 sierpnia

Kłeska Serbów pod Książewaczem zmieniła do tego stopnia położenie, że przewidywano powszechnie albo szybkie zakończenie wojny siłą oręża tureckiego, albo też ze strony Serbii gotowość do układów i blizki pokój, przy pomocy Europy. Nie sprawdziło się atoli ani jedno, ani drugie. Turcy, zająwszy Książewacz i Zajcar, spuścosszywszy ogniem i mieczem cały wschodni pas kraju, nie posuwają się dalej, gromadząc zapewne większe siły przeciw skoncentrowanym pod

Banją Serbom. Ci ostatni także nie upadli na duchu, a rząd białogrodzki postanowił prowadzić wojnę dalej. Postanowienie to zapadło podobno za uprzedniem porozumieniem się z Czarnogórzem. Ks. Milan nie odwoływał się urzędownie do rady żadnego z rządów zagranicznych i nie otrzymał od nikogo oficjalnej zachęty. Można jednak łatwo zrozumieć pobudki, które go zachęciły do dalszego oporu. Pobudki te są i wewnętrzne i zewnętrzne. Do pierwszych należy przede wszystkim bardzo usprawiedliwiony zapał, chęć pomszczenia się i powetowania sobie strat dotąd poniesionych. Wyższość armii tureckiej nad serbską, jakkolwiek na polu różnych bitew wykazana, nie jest przecie tak przeważną, ażeby już Serbowie mieli dać za wygraną wszelkim nadziejom; a dolina Morawy, choć ważny punkt strategiczny, nie jest przecie jedyną linią bojową. Czolak Antycz nad Ibarem i Alimpicz nad Dryną trzymają się ciągle i mimo nadchodzących Turkom posiłków, zwłaszcza z Saloniki do Mitrowicy, nie tracą swoich stanowisk, przed miesiącem zgórą zajętych. Przytém niebrak też nadziei, że Rumunia chwyci za broń prędzej lub później. Co do pobudek zewnętrznych, to stawiamy na pierwszym miejscu bardzo liczny napływ ochotników różnych narodowości do Białogrodu i składek pieniężnych dla Serbii, które z prywatnej inicjatywy, mianowicie w Rosyi, sypią się nader obficie. Barbarzyństwa baszybuzuków i Czerkiesów w Bulgaryi, a teraz i w Serbii, rozbudziły powszechną dla nieszczęśliwych Słowian tureckich sympatya i znalazły odgłos nawet w sferach półurzędowych i urzędowych różnych krajów, ukazały Serbom nadzieję interwencji przeciwko Turcyi, gwałcącój prawa międzynarodowe i ogólne ludzkie. Jeżeli zaś taka interwencya ma nastąpić, to rozumie się, że lepiej dla Serbii, gdy ją zastanie z bronią w ręku i gdy układy o pokój będą miały do czynienia ze stronami walezącymi, niżeli ze zwycięzcą i pokonanym.

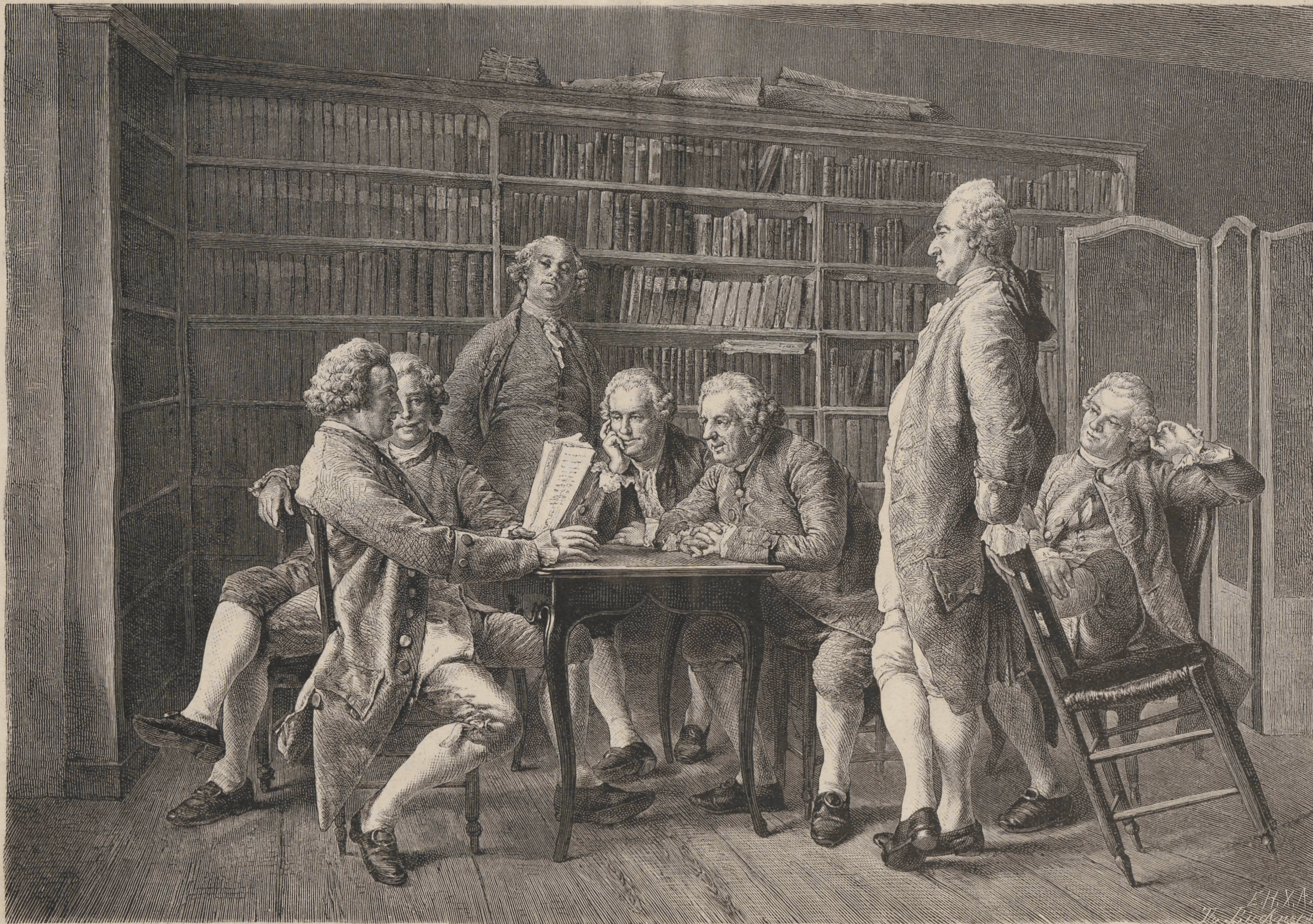
Odzywają się coprawda w prasie europejskiej głosy, że mocarstwa nie powinny interweniować przeciwko Turcyi, jeśli nie interweniowały w innych krajach, gdzie wojna doprowadzała do podobnych nadużyć. Przypominają okrucieństwa Anglików w Indyach, karlistów w Hiszpanii i t. p. Ale dowodzenie takie pachnie doktryneryą, a polityka nie jest nauką teoretyczną i nie można od niej wymagać ścisłej, we wszystkim logicznej konsekwencji. Zadania polityczne są zadaniami praktycznymi i stawia się je tylko tam i tylko wtedy, gdzie i kiedy rozwiązaniem być mogą. A Turcyja jest w takim położeniu, że Europa może z niej zrobić co zechce, byle tylko zgodnie postępowała. Przytém trzeba przyznać, że okrucieństwa tureckie przewyższały wszystko, co pod tym względem gdziekolwiek dawniej zrobiono. Sprawozdanie Baringa, komisarza „angielskiego“, o wypadkach w Bulgaryi jest przerażające, choć autor zapewne nie pozbył się jeszcze wszelkiej względem Turków pobłażliwości.

Zanim nastąpi tylokrotnie zapowiadana medycyna, wojna ciągnąć się będzie dalej. Czy Serbia sama zdoła bronią powetować sobie klęski, które jej broń zadała, wątpimy. Po Sedanie nawet Francya nie mogła się ocalić; po Książewaczem trudno będzie małej Serbii pokonać licznego wroga. Spodziewa się ona dziś głównie poparcia z zewnątrz, liczy na to, że w najgorszym razie nie straci tego co obecnie posiada i heroicznie walczy dla przyszłości, dla pobratymczych a gnusnych, nawet wobec morderstw tureckich, plemion słowiańskich, pod berłem porty otomańskiej. Sympatya większości ludów Europy stoi po ich stronie i silnie, choć powoli, oddziałują na rządy. Te ostatnie jednakże muszą się rachować z ogólną masą względów politycznych, między którymi uczucie ludzkości odgrywa, niestety, rolę podrzędną. Z całego serca życzymy Serbii, żeby nie przekonała się o tém na sobie samęj...

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Timss.)



Wiązanie przy żniwie. Rysunek W. Sznera.



Odezyt u Diderota. Kopia obrazu Meissonniera.

SZEWCIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

W jednym z miast wielkich, które litera X oznacza, na jednym z przedmieść oddalonych, przy drodze głównej, Główną ulicą nazwaną, stał domek, rozdzielony sienią na dwie połowy. W jednej z połów tych była izba z alkierzem i w drugiej izba z alkierzem. Do jednej wchodziło się na prawo, do drugiej na lewo. Na prawo mieszkał Nuchim Bimbel z małżonką swą Ryfką i z ośmiorgiem obojg płci dzieci, z których najstarsze liczyło lat osiem. Czém się oni trudnili?—czémże się trudnić mieli?—gorzałkę szynkowali. Na ten cel wychodzące na ulicę okno odpowiednie posiadało urządzenie, było szerokie i w taką zaopatrzone okiennicę, ażeby utworzona i kijem podparta, służyć mogła za stół, na którym przechodzić, czasu do przesiadywania w izbie niemających, mógł kwaterek wychylić i iść dalej. Wygodna, letnia jeno pora możliwa, niemałe szynkarzowi przynosiła zyski. Ale też były to zyski jedyne otwarte, albowiem szynk Nuchima, dla samej szczupłości izby pierwszej, nie posiadał klienteli rozległej, któraby mu dawała dochód stały i donośny. Zajmował on, jak rzekliśmy wyżej, połowę domku, którego połowa druga, składająca się także z izby i alkierza, służyła za mieszkanie goimów, niemających żon, ani dzieci.

Było ich czterech—dwóch starszych, dwóch młodszych. W pierwszej izbie stało łóżko jedno, i w drugiej izbie stało łóżko jedno. Łóżka stanowiły sprzęty główne, umeblowanie pryncypalne; nie odznaczały się atoli bynajmniej wytwornością, ani nawet czystością osobliwą, kształtem zaś swoim świadczyły, że fabrykowała je ręka nie stolarza, ale improwizowanego jakiegoś rzemieślnika, który o elegancją nie dbał wcale, nadając im formę pierwotną, jaką posiadać musiały w czasach onych, kiedy ludzie wynalazek ten zrobili. Deski na koziolkach, oto łóżko samo; siennik słomą wypchany, prześciéradło, poduszka i koc szafirowy składały posłanie, a zarazem i główną izdebek ozdobe. Zresztą zapełniały je sprzęty jaknajprostsze, skrzynki, stolki i stoliki drewniane, niepoliturowane, ani nawet bejcowane. Jedyna, jaka pomiędzy izbą większą a izbą mniejszą zachodziła różnica, na tém polegała, że w pierwszej, na ścianie zawieszona, znajdowała się półka z książkami, w drugiej, również na ścianie, wisiało pełno młotów, młotków, pilników, piłek, dłutek, obcęg, świrdrów, świderków, noży, nożyce i innych tego rodzaju narzędzi, których nie wspominam wszystkich, z powodu że, nie będąc sam rzemieślnikiem mającym z narzędziami temi do czynienia, nazywać ich nie umiem. Użytek, na jaki narzędzia te służyły, poznawać się dawał po znajdujących się w obu izdebkach blachach i naczyniach miedzianych. Do domu z tyłu przylegała szopa, w której stały kowadło, piec kowalski z przygotowanym do niego miechem i koziolki do siedzenia—był to warsztat kotlarski, urządzone widocznie naprędce i nacechowany charakterem tymczasowości. Warsztat ten pozostawał w styczności z izdebkami na lewo i należał do czterech owych, których nazwalismy goimami, a nazwalismy ich tak dlatego, żeśmy pierwszy rzut oka na nich uczynili z punktu izdebek znajdujących się na prawo, zamieszkanym przez Nuchima i rodzinę jego.

Goimy przeto byli—to kotlarze—niewszyscy jednak. Kotlarzem nie był, a raczej nie mógł być, jeden z nich, którego schodzimy w nocy, przy stoliku nad książkami. Świeca łożowa w lichtarzu blaszanym daje światła tyle właśnie, ile potrzeba, ażeby oczy młode czytać mogły z natężeniem niebardzo wielkim. Nad stolikiem, na ścianie, przybito rozkład lekcji, na arkuszu, na którym ołówkiem czerwonym popodkręślane przedmioty, w klasie szóstej wykładane, oznaczać się zdawały, że klasa ta obchodziła najbardziej tego, co rozkład ów przybił. Na rozkładzie tym we czwartek, któ-

ry przychodził nazajutrz, wypadały przed południem: historia i matematyka. Przed siedzącym przy stoliku leżało właśnie kilka historii powszechnych, otworzonych na epoce reformacji. Siedzącego przy stoliku tytułować będziemy tymczasem czytelnikiem, z powodu zajęcia, któremu oddawał się duszą całą, odczytując autorów jednego po drugim, notując daty, zapisując fakta i zamyślając się często. W zamyśleniu, czoło opierał na dłoni i w płomień świecy się wpatrywał. Wówczas widzieć było można twarz jego—twarz młodą, pogodną, o rysach regularnych, oczy szafirowe, czoło duże, włosy płowe—nacechowaną znamieniem jutrzni, zapowiadającej jasną myśl, co pod czaszką się miotła. Twarz jego czasami posępniała; niekiedy znów uśmiech błakał mu się po ustach. Widać było że myślał, że się błakał na przestworzu bezgranicznym, na którym ścigał coś nieujętnego. Kiedy niekiedy powtarzał sobie dwa wyrazy, definiujące ideę jedną:

— Wyzwolenie sumienia...

I szedł do książek—radził się ich, czy też szukał w nich czegoś, cofał się bowiem w wieki dawniejsze, w czasy przedchrześcijańskie i zestawiał fakta, w których postrzegać się dają pierwiastki wielkiego zwrotu dziejowego, jakim się zaznaczył początek szesnastego stulecia.

Czas upływał. W izbie panowała cisza, w której rozlegały się chrapania i sapania ludzi śpiących, tak w alkierzu, od którego drzwi były półotwarte, jakoteż na łóżku nieopodal od stolika, przy którym siedział nasz czytelnik. Na łóżku tém leżał blondyn jakiś, o sumiastym wąsie i krótko ostrzyżonych na głowie włosach. Ten spał smacznie na boku prawym, z prawą pod twarzą dłonią. Obok niego, na stolku, leżał duży srebrny kieszonkowy zegarek, który głośno dygotał.

Czytelnik nad książkami siedział, blondyn spał.

Nagle ten ostatni, przewracając się na drugi bok, przebudził się, na zegarek spojrzął i zawołał:

— Kaziu!... na Boga!... wpół do dwunastej!...

Czytelnik niecierpliwie skinął, jakby powiedzieć chciał: nie przeszkadzaj!...

Blondyn odparł:

— To przeciwko umowie...

Czytelnik nie odpowiedział na to nic; blondyn przewrócił się, koc na ramiona naciągnął i zasnął nanow.

Młodzieniec westchnął, dzieła historyczne pozamykał, podniósł się, poukładał je na półce i powymował inne książki, które przed sobą porzucił. Były to dzieła matematyczne. Otwierał je kolejno i czytał, czytał i porównywał, kręśląc przytém na arkuszu papieru figury i wypisując formuły, które rozwijał w funkcyje i szere. Były to zadania, odnoszące się do geometrii wykreślnej, tej gałęzi nauk matematycznych, pociągającej urokiem obrazowości i przemawiającej do wyobraźni. Czytelnik nasz z zajęciem wielkim szukał rezultatów, poddając formuły próbom rozmaitym, za pomocą przypuszczeń odpowiednich. Przypuszczał równość, przypuszczał minus, zamiast plus, podstawił zero zamiast X i przerabiał formuły, otrzymując wypadki, które wnet przedstawiał pod postacią rzutów na płaszczyznach pochylonych tak, lub owak. Zagadnienia wysuwały mu się z zagadnień, problemata ściągaly jedno drugie, a rezultaty wypadły takie nieraz, iż mu się mimowolnie wydierał z piersi okrzyk zadziwienia, który się w końcu w następujący wyraził sposób. Młodzieniec pozamykał książki, oparł się łokciem na stole i rzekł do siebie:

— Czego się jeno dotknąć... na każdym punkcie... głębia... Punkt matematyczny jest niczem... jest jednak czémś, tworzy linię, linia powierzchnię, powierzchnia ciało... Historia ziemi, historia rodzaju ludzkiego... czém one są?... rozwojem funkcyi matematycznej, wychodzącej z punktu jakiegos, będącego niczem i czémś, a raczej zagadnieniem wielkim, nierozwiązanym... Czy nierozwiązanym?... Czy nierozwiązanym? powtórzył z naciskiem.—Odpowiedzi zadowolającej

nie dał jeszcze nikt... Ha! nauka... to morze do wypicia.

Podczas monologu tego, blondyn obudził się, oparł na łokciu i wpatrywał się w czytelnika, który, pomilczawszy przez chwilę, znów się odezwał:

— „Szukajcie a znajdziecie...“ wielkie słowo... Trzeba iść dalej i dalej...

To mówiąc, sięgnął ręką po książki i drgnął nagle, jakby się przestraszył. Blondyn słuchający przerwał mu.

— A tymczasem, idź spać—rzekł.

Czytelnik obejrzał się i czoło zmarszczył.

— Kaziu! toć to się już nie godzi... dalipan!... Po drugiej... Cóż ty sobie myślisz?—zapytał, wstając i nogami bosemi, w stroju nocnym, którego opisywać nie będziemy, podchodząc do młodzieńca. Kaziu!... wedle zawartej pomiędzy nami umowy, zobowiązałeś się nie przesiadywać nad książkami po północy... Łamiesz umowę... pójdz do łóżka, pójdz...

Ujął młodzieńca za ramię, jakby w celu zmuszenia go czynnie do dotrzymania układu.

Czytelnik nasz wstał, zwrócił się do blondyna frontem, z uśmiechem na ustach, w oczy mu spojrział, ręce wznosił do góry i wyciągnął się, wydając odetchnienie głębokie.

— A widzisz—blondyn na to—kości ci od siedzenia trzeszczą... po drugiej już z północy.

— Kiedyż-bo się oderwać nie sposób—odparł młody człowiek. Tyle ponęt w tej pracy, mój Józefie.

— No, no... Już to, co się pracy tyczy, nie gadaj mi o tém. Jać przecie z pracą znam się trochę i wiem, że potrzeba się dla niej szanować. Wprawdzie pomiędzy twojami naukami a mojami kotłami musi jakaś zachodzić różnica.

— Niewielka—odparł młodzieniec.

— Jakaś przecie, chociaż najmniejsza.

— Różnica rodzaju, nie zaś istoty. Nauka się kuje jak kociół, tylko narzędziem odmiennym... i zależy od większej albo mniejszej rzemieślnika zręczności, zręczność zaś zależy od zdolności wrodzonych, od zamilowania, od powołania. W nauce, jak w kotłarni, na jednego majstra jest czeladników mnóstwo, co kuja i kuja życie całe i niczego dokuć się nie mogą.

— Ty jednak dokujesz się czegoś—rzekł blondyn, patrząc młodzieńcowi w oczy z wyrazem miłości.

Młodzieniec ramionami ruszył i odparł gestem, oznaczającym: „kto wie.“

— Dokujesz się—odparł blondyn.—Tymczasem jednak, idź spać, rozbiéraj się, gaszę świecę.

I wyciągnął do płomyka palce, które miały funkcyą szczypców spełnić.

— Czeka!—krzyknął młodzieniec, zrzucając z siebie pośpiesznie odzież zwierzchnią.

Blondyn palce zatrzymał przy płomyku świecy; młodzieniec rozebrał się, na łóżko się rzucił i wnet potem ciemność zaległa izdebkę. W ciemności słycać jeszcze było wyrazy następujące:

— Dzisiaj czwartek, o której ty przychodzisz wieczorem?

— O ósmą—była młodego czytelnika odpowiedź.

— Dobrze ci tam? wygodnie? miejsca masz dosyć?

— O, dosyć! Józefie. Tak mi wygodnie, że boję się, ażeby nie zaspał. Zbudź-że mnie, proszę ciebie.

— O której?

— O szóstej.

— Spij-że teraz, no. Ja już śpię.

I nastąpiła cisza senna, która atoli nie trwała już długo. Niebawem switać zaczęło. Ciemność ustępowała powoli, aż stało się jasno, pomimo że słońce nie zeszło jeszcze. Blondyn Józef ostrożnie wysunął się z pod koca, który i młodego czytelnika okrywał, zabrał odzież na skrzynce złożoną, wyszedł na palcach z izby, drzwi zamknął i w alkierzu zwrócił się do śpiących w jednym łóżku mężczyzny dojrzałego i chłopca wyrostka.

— Marcinie! Jędrku! a no! wstawać pora.

Marcin był-to mężczyzna dojrzały, człek mar-

sowatą obdarzon miną—ziwnął szeroko i zerwał się; Jędrak ruszać się ani myślał.

— Rozbudź-no go.

Na wezwanie to Marcin wziął chłopca w pół ciała i postawił go obok łóżka. Jędrak zatoczył się, rękami się za stolki, ścianę i stół chwycił, aż oprzytomniał.

— Ej spiochu ty, spiochu—strofował go Józef.—Umyj się co żywo, przeżegnaj się i... do roboty! Izbę pozamiatać, w piecu rozpalic i po mleko pójść, a tylko nie stukaj się i hałasu nie sprawiaj, ażebyś Kazia nie rozbudził. Pamiętaj to sobie!

Pogroził chłopcu palcem i wyszedł za Marcinem. Wkrótce potem na podwórku, pod szopą, słysząc się dało stukanie regularne dwóch młotków. w izbie zaś chłopiec terminator porządek robił, zaściewając łóżko, zamiatając podłogę, ustawiając stolki, sprawiając hałas jaknajwiększy i gadając sam do siebie.

— Cóż to, ten Kazio... królewicz czy co? żeby kiedy śpi, na palcach chodzić trzeba było? Cóż z tego, że on Józefa brat? Wielka mi rzecz! Józef kotlarz, a on jego brat! Co to mi za panicz!... Tatuńcio ich szewe, a mój ślusarz. Takż to ono przecie co ślusarz, to nie szewe.

I uderzył stołkiem o podłogę, aż sam się przełakł, przyszło mu bowiem na myśl coby to było, gdyby Józef uczył. Nadstawił ucho. Z podwórka dochodziło regularne dwóch młotków stukanie. Uspokoił się. Zajrzał do izby pierwszej, uchylając drzwi, i rzekł do siebie:

— Śpi... Oj czemuż to ja nie brat Józefa... toż bym pospał sobie jeszcze!...—Ziwnął szeroko.—Ha, ha... Tyleż ludzi śpi o tej porze... śpi Nuchim, śpi jego bałabusta, śpi bachury... trzysta im!...

Wymawiając frazes ostatni, taką zrobił minę, jakby coś mu nagle na myśl przyszło. Twarz przybrała wyraz drwiący, oczy zamigotały blaskiem radosnym, usta wykrzywił, a na obliczu odmalował się mu wyraz: psotnik.

— Poczekajcież... — rzekł, ręką w powietrzu wywijając.

I począł na palcach się skradać. Szukał czegoś pod łóżkiem, wydobyl zwitek mający kształt cylindra z kartonu uklejonego, objętości palca małego, długości cali trzech, nie więcej. Był to fajerwerk, zwany pospolicie szmermelem, który, zapalony z końca jednego i na podłogę rzucony, szypie, wije się, ogniem bucha, wreszcie strzela z hukiem wielkim. Łatwo odgadnąć, że Jędrak powziął zamiar puścić szmermela uspijonym Żydom do izby.

Gdy atoli do wykonywania zamiaru przystąpił, napotkał trudności nie do przełamania. Drzwi ze środka zamknięte, szpary zaś we drzwiach były zanadto wąskie, ażeby przez takowe można było rzucić przedmiot, wymagający ruchu swobodnego. Jędrak naklął Nuchimowi i dzieciom jego, za to że szpar większych nie porobili i obchodził pomieszkaniem szynkarza, rewidując drzwi i okna. Niestety, drzwi się nie nadawały do eksperymentu ogniomistrzowskiego. W okienku jednak tylnym spostrzegł dziurę sporą, pochodzącą z rozłuczenia szyby. Podsunął się bliżej i ujrzał w dziurze nos Nuchima. Zrazu wydało się mu, że szynkarz patrzy; zreknoskowawszy wszakże dokładniej, przekonał się iż Żyd śpi, wytknął nos ku dziurze, brodą zaś pół szyby zasłonił.

— Ach!...—zawołał Jędrak wobec tego widwiska, nogę jedną podnosząc.

Przez głowę przesunęło mu się conceptów mnóstwo, odnoszących się do tego, co z tym nosem żydowskim zrobić. Okazywa nastęrczyła się jedyna—podobna nie powróci, choćby czekać na nią lat sto. Jak z niej skorzystać? Puścić na nos szmermela?—padnie na łóżko i bety zapali. Dać w nos szeczutka? ukłuć szpilką? bryzgnąć wodą? posmarować atramentem? podkadzić czéms?

— Al!...—krzyknął chłopak, głosem takim, jakim zapewne krzyknąć musiał Pitagoras, gdy, w kąpielu się znajdując, rozwiązanie problemu znalazł.

Poskoczył, wkradł się do izby w której spał Kazimirz, wykradł ćwiartkę papieru, którą w trąbkę zwinął, wyskubał z odzieży waty, którą

w trąbkę włożył, wate zapalił i z tym przyrządem w rękę podsunął się na palcach pod okno. Przekonał się najprzód czy nos jest jeszcze—jest. Wsunął trąbkę w otwór, skierował ją na nos żydowski, do cienkiego końca usta przyłożył, dmuchnął silnie i od okna nie odskoczył, aż usłyszał jęknienie przerażenia. W jednym oka mgnienu już go pod oknem nie było. Z miną spokojną zamiatał pilnie izbę.

W przeciwległej do nku połowie rozległy się nagle okrzyki:

— Uch!... uf!... gwałt!...

Drzwi się z traskiem rozwarły. Do sieni najprzód, z sieni na podwórko następnie, wysypała się rodzina cała, wystraszona, przerażona.

Jędrak wymiatał właśnie śmiecie z izby do sieni i drzwi otworzył, a ujrawszy i usłyszawszy co się dzieje, zdziwienie wielkie okazał.

Józef i Marcin wybiegli z warstata.

Widowisko było malowniczości pełne, tworząc grupę charakterystyczną, złożoną z Ryfki w negliżu nocnym, z dwojgiem dzieci na ręku, z sześciorga dzieci czepiających się jej za koszulę i krzyżących głosami piskliwymi, i z Nuchim, chwytającego się co chwila za nos i wrzeszczącego na całe gardło. Wrzaski Nuchima i Ryfki tworzyły duet, w którym sam Wagner, pomimo że jest zdeklarowanym żydowskiego rodzaju nieprzyjacielem, znalazłby harmonią przerażenia. Motto, a raczej temat, około którego harmonia się ta obracała, składała się z dwóch wyrazów:

— Gwałt!... rozbój!...

Dzieci wtórowały, wrzeszcząc z sił całych:

— Mamele!... tatele!...

Starzy jęczeli i zawodzili głosami nieludzkimi.

Józef i Marcin, z młotami w rękach i w fartuchach skórzanych, przybiegli z gotowością niesienia pomocy; wiedzieli wszakże pierwsi musieli co się stało, ażeby pomoc ich skuteczną być mogła.

— Co to?... co to jest?...—zapytywali to ten, to ów.

Nie mogli się jednak dopytać niczego. Nuchim wrzeszczał, Ryfka wrzeszczała, dzieci wrzeszczały, ale słowa przemówić nie mogli.

Na wrzaski te i Kazimirz, napół odziany, na podwórko wybiegł.

— Co to znaczy?...

Ledwie nieledwie oprzytomniała nieco Ryfka najpierwsza i na zapytanie co się stało, odpowiedzieć zdołała:

— Ny... herste... czy ja wiem?... Ja nie nie wiem... Ja sobie spała... aż tu... niech Pan Bóg bronil!...

Za przykładem bałabusty oprzytomniał i Nuchim i opowiadać począł:

— Co się stało?... Alboż ja wiem, co!... Ny, stało się... Jam sobie spał, aż tu... uf!... coś mi spadło na nos i z pościeli wysadziło... Ny... gdzie to kto widział!... gdzie to kto słyszał!... Ny, niech Pan Bóg bronil!...

Kiehanie mowę mu przerwało.

Jędrak przypatrywał się i przysłuchiwał w spokoju jaknajwiększym, tylko mu na końcach ust wisiał uśmiech zadowolenia, którego atoli dopatrzenie wymagało znawstwa fizyognomii ludzkiej ogromnego, jakiego nie posiadał z obecnych żaden.

— Chyba się wam co przysniło, panie Nuchim...—odezwał się Józef.

Żyda to zastanowiło. Przypuszczenie nie było racyi pozbawione, przeciwko niemu bowiem świadczył nos tylko, w którym kręcenie nie ustawało; przyjąć je jednak należało, albowiem przypuszczenie to przedstawiało się jako jedyna hipoteza, zapomocą której tłumaczyć się dawał fenomen.

— Przysniło się... przysniło...—powtórzył Nuchim. — Niech jegie i tak będzie... Albo ja wiem!... Ny!...

Wzruszył ramionami i wykonał, wraz z rodziną całą, odwrót do pomieszkania swego. Marcin powrócił do warstata, Józef zaś udał się z Kazimirzem do izby i od progu Żydom zlorzeczyć począł.

— Diabli nadali!... bodajby ich lichy porwało!...

— Cóż ci oni złego zrobili?...—zapytał młody człowiek.

— Sen ci przerwali... Patrz (tu zegarek pokazał)...w pół do szóstej... Kazałeś się o szóstej zbudzić, ja zaś miałem zamiar pozostawić cię w snu objęciach do siódmej przynajmniej!...

— Zły był twój zamiar!...

— Nie był on zły ze wszystkiém... Kto o trzeciej spać idzie, temu się należy spanie do siódmej!...

— Komu czasu starczy...—wtrącił młodzieniec.

— Czas... hm... Pan Bóg jednak dał noc do spania, dzień do pracy... Trzeba się trzymać tego, jak Pan Bóg rozporządził!...

Młodzieniec uśmiechnął się i odpowiedział:

— Żeby iść za radą twoją, należałoby rzec się nadziei nauczenia się czegoś... Ha, ha... zabroni sobie pracy nocnej?... Nacóż dzień taki krótki?... Człowiek, gdyby niewiedzielić jak się śpieszył, to przez życie całe nie potrafiłby przeczytać... przeczytać tylko... książek więcej jak dziesięć tysięcy... A potrzebaż nietylko czytać, ale jeszcze i myśleć, rozważać!...

— Jak się pokazuje przeto—odrzekł Józef—lżej z kotłami, niż z książkami!...

— Może...—odparł Kazimirz.

— Zwłaszcza jeżeli potrzeba nietylko uczyć się samemu, ale i drugich uczyć... Ate!...—dodał—o tém potem... Mam z tobą do pogadania, a teraz o posiłku porannym pomyślmy... Jędrak!...—krzyknął.

Jędrak się na progu pojawił.

— Ogień rozpalony?... mleko przyniesione?...

— Ogień się rozpala—odpowiedział zapytany—a po mleko zaraz idę!...

(Dalszy ciąg nastąpi.).

ODCZYT U DIDEROTA.

Encyklopedycyści!... wyraz-to budzący najróżnorodniejsze wspomnienia. Przed wzrokiem ducha naszego staje skromna izdebka uczonego, w której wyzobotowane i upudrowane towarzystwo, w jedwabnych pończochach i trzewikach ze sprzączkami, zbierało się często na pogadanki i czytania, pomiędzy latami 1761 i 1766.

Z zakątka tego szły w świat ulotne owe pisemka, które jak iskry palące rozbudzały namiętności tłumów, aż wreszcie tak olbrzymią wznieciły pożogę, że płomienie jej o mało całej nie ogarnęły Europy.

Mężowie ci o twarzach uśmiechniętych, błyszczących oczach i żwawych, młodzieńczych ruchach, zwący się filozofami, zapuszczali sondę krytyki rozumowej we wszystkie głębiny spraw naukowych i społecznych, a jako wielki upust szczerzonych przez się pierwiastków fermentu, wydawali słynną Encyklopedyą swoją, na czele której stali Diderot i d'Alembert.

W pracowni głównie Diderota zaostrzano pociski, mające ocknąć z letargu ludzkość przygnębioną. Pokój-to tak przyjemny i cichy, a zebrani w nim panowie tak wesołe i jowialne mają twarze! Ale każdy ich pomysł, każda uwaga głęboka, lub choćby tylko dowcipna, wybiegając w świat w kształcie artykułu encyklopedycznego, albo dziennikarskiego, stawały się gromem, uderzającym w zmurszałą budowę społeczną, aby ją wstrząsnąć aż do podwalin.

Przeciwnictwo to właśnie spokojnej, duchowej pracy myślicieli, z piorunowemi jej skutkami, wybornie pochwycił Meissonnier, przedstawiając kółko zebranych u Diderota na odczyt i naradę uzonych. W tém uważany znaczeniu, obraz malarza francuzkiego godzi się nawet nazwać poniekąd historycznym.

Świętopełk książę Pomorza gdańskiego.

Opowiadanie historyczne.

Napisał
FELICYAN SURYN.

(Dokończenie.)

Po długim wahaniu się, przyrzekł książę w r. 1244 czynną dać pomoc Prusakom. Od chwili tej rozpoczęła się długa, pełna interesu i zawziętości walka. Z jednej strony występuje Świętopełk, obrońca zagrożonej Słowiańszczyzny, mściciel krwi i łez ludów ucimionych — i okrzyczany ten zabójca Leszka Białego urasta teraz na bohaterską postać dziejową; — z drugiej strony zbryzgany krwią bezbronnych Prusaków zakon i wódz jego Poppo de Osterna, tyran, jakich, na zaszczyt ludzkości powiedzieć to trzeba, niewiele było w poprzednich i następnych wiekach.

Niespodzianie ujrzeli się krzyżacy zaskoczeni tak groźną potęgą. Strach paniczny szerzył się w ich szeregach; pierzchliwie ustępowali przed zwycięzcami i z osłupieniem patrzyli na ruinę siedzib swoich, na zdobywanie gródków, z których

oparły się tylko Toruń i Chelmża. Rozwściekieni Prusacy bez litości wyrzynali wszystkich osadników niemieckich. Była chwila takiego upadku na duchu, takiego pogębienia i rozpacz krzyżaków, że postanowili opuścić Prusy, spróbować jednak uprzednio najdzielniej im dotąd służącego oręża: kłamstwa i oszczerstwa.

W Prusach bawił wtedy legat Inocentego IV, Wilhelm biskup Modeny. Przed nim to rozwdzi swe żale nikczemny Poppo de Osterna na

Świętopełka, skrytego poganina i wroga szerzącego się w Prusach, pracą i znojem Niemców, chrześcijaństwa. Biskup Modeny wzywa Świętopełka do zgody z zakonem, a w razie przeciwnym grozi mu klątwą. Daremne to jednak były pogrożki. Świętopełk postępuje dalej, przechodzi Drwęcę i w granicach Mazowsza, w okolicach Płocka, szerzy spustoszenie. Wtedy Wilhelm i Poppo de Osterna zanoszą swą skargę i prośbę o pomoc do stolicy apostołskiej i przed nią oszczer-

czo spotwarzają Świętopełka. W tym czasie potęga papieżstwa doszła do zenitu swego. Zasiadający stolicę św. Piotra Inocenty IV, człowiek energiczny i polityk głęboki, wyteżał wszystkie siły, by zwalczyć Fryderyka II, utwierdzić wyższość władzy duchownej nad świecką i zmusić cesarstwo do uznania się za lenno kościoła. Światły, lecz zniewieściany Fryderyk kochał się w arabskiej mądrości i chętnie się otaczał Arabami; jednym więc z głównych powodów klątwy na Fryderyka było to jego sprzymierzenie się z niechrześcianami. Wrogowie też Świętopełka o takież sprzymierzenie się, o takież nieposzanowanie hierarchii kościelnej obwiniają tego księcia. Inocenty stanowczo przyjmuje stronę zakonu. Wychodzi buła jego w 1245 r. na

Rysunki humorystyczne

Franciszka Kostrzewskiego.



Nowe prawa nowego postępu.

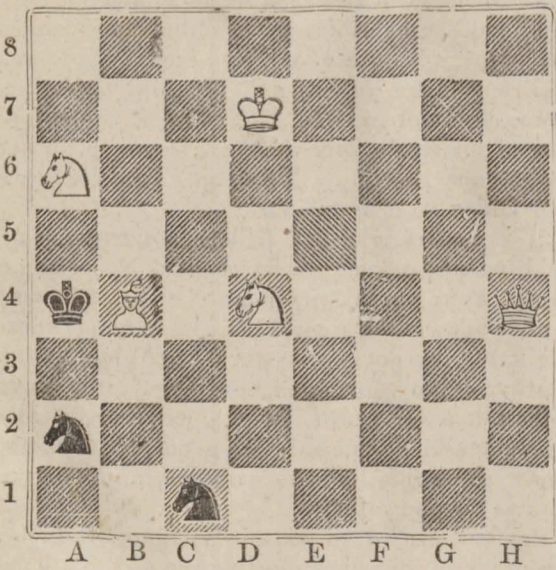
— Co ty robisz, waryacie?
— Wyrzucam wszystkie dzieła romantyczne, bo według pana F. K., romantyzm ludzi tylko ogłupia.

203

SZACHY.

ZADANIE XXXI.

Białe zaczynają i dają matę za 3 posunięciami.
Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 30.

Białe.

Czarne.

- 1) A2—A1 1) G6—G4 biorą.
- 2) F5—D6 † 2) E4—F4.
- 3) A1—F6 † i mat.

Inne warianty łatwe.

NAKLAD JÓZEFA UNGRA.

ALBUM MALARZY POLSKICH,

ZBIÓR WŁASNORĘCZNYCH RYSUNKÓW

najznakomitszych przedstawicieli naszej sztuki,

w głównych jej ogniskach

Jak: Monachium, Rzym, Paryż, Kraków, Lwów, Warszawa.

SERYA PIÉRWSZA.

MONACHIUM.

Cena zeszytu:

w Warszawie rs. 2 kop. —

w cesarstwie i na prowincyi „ 2 „ 50.

W ozdobnej oprawie zagranicznej en relief:

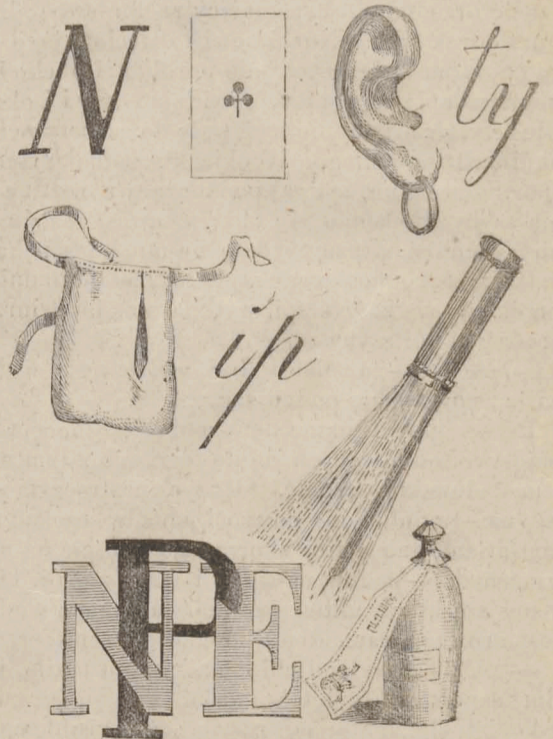
w Warszawie rs. 3 kop. —

w cesarstwie i na prowincyi „ 3 „ 50.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

204



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 33.

Zdrowa dusza tylko w zdrowym może mieszkać ciele.

*Na suchoty kieszonoj praca piosenki
Lewstow*

imię arcybiskupa gnieźnieńskiego, zaczynająca się od słów: „Prussiae negotium,“ w której arcybiskupowi Fulkonowi groźnie upomnieć każe Świętopelka, aby zaniechał przymierza z poganami, a wrazie nieposłuszeństwa wykląć go i zwołać krucyatę.

Napomnienia arcybiskupa nie wstrzymały zwycięzkiego pochodu Świętopelka. Tedy ogłoszono krucyatę. Konrad mazowiecki największy zastęp wojska przyprowadził na pomoc krzyżakom, drżał bowiem na myśl o zwycięstwie Prusaków, a z drugiej strony ten okrutnik ściągnął wtedy na siebie exkomunikę za zabicie Czapli, scholastyka plockiego, więc i hojnym nadaniem Łowicza, i tą skwapliwością w wystąpieniu do walki z Świętopelkiem, chciał się przypodobać Fulkonowi i Innocentemu IV. Z Konradem złączyli swe wojska Kazmirz kujawski i Przemysław kaliski. Posiłkowały ich też bardzo znaczne tłumy niemieckiego rycerstwa. Nierówna więc to była walka; zastępy zakonu, wzmocnione przez tak wielkie posiłki, w krótkim czasie wydarły wszelkie zdobycze Świętopelkowi i pożar wojny przeniosły w granice Pomorza. W ziemi nieprzyjacielskiej Konrad zaczął gospodarować po swojemu: niszczone śliczne włości Świętopelka, zabrano jego skarby i zrabowano Gdańsk.

Tak przyciśnięty Świętopelk, nie mając pomocy od Prusaków, którzy znów jęczeli pod jarzmem krzyżackim, pomyślał o pokoju, rozumiejąc przezeń chwilowe tylko wytechnienie i zbranie sił do nowej walki. Znajomy już nam biskup Modeny Wilhelm, ten chętny i szczerzy pacyfikator, podjął się pośrednictwa. Zwycięzki Poppo de Osterna podał najuczciwszą warunki, lecz koniecznością zmuszony, Świętopelk przyjął takowe: zobowiązał się więc zerwać wszelkie stosunki z Prusakami, odstąpił na własność krzyżakom zamek zartowiecki i w nim zabrane skarby; w zakład zaś dotrzymania pokoju, oddał najulubieńszego syna swego, znanego już z waleczności Mestwina, burgrabiego Winiarę i hetmana Wojaka.

Roku pokoju użył Świętopelk na gromadzenie sił, na odnowienie stosunków z Prusakami i Litwą. Przebieg drugiej wojny pomorskiej najzupełniej podobny był do pierwszej. Świętopelk, złączony z powstańcami pruskimi i z Trojnatem, znowu niszczy Prusy i Kujawy. Zakon zanosi swe skargi do papieża i nowe pioruny spadają na księcia z Watykanu. Fulkon i Wilhelm rzucają znów klątwę i znów głoszą krucyatę. Jak w krucyacie uprzedniej, i teraz książęta polscy przyjęli udział, z Niemiec zaś najznaczniesze wsparcie nadeszło od księcia austriackiego Fryderyka, pod wodzą Druzygiera. Odżyła więc nanowo odwaga zakonu; wszelkie nabytki Świętopelkowi wydarto, Prusacy pozostali pod jarzmem, a Świętopelk musiał wracać do kraju, żeby zapobiedz buntowi braci, Sambora i Racibora. Za nim wtargnęli krzyżacy i krzyżownicy i nowe, doszczętne spustoszenie dotknęło nieszczęśliwe Pomorze. Duchowieństwo kazało przeciw eskomunikowanemu księżciu; Sambor i Racibor intrygowali; więc lud i wojska zachwiała się w wierności. Świętopelk jeszcze raz zmuszony był prosić o pokój dumnego mistrza. Poppo ze wzgardą odrzucił propozycją Świętopelka, i tylko energiczne wdanie się stolicy apostolskiej przez legata nowego Opizona, a co ważniejsza, rozkaz jęj dany biskupowi Henrykowi, aby zaprzestał opowiadać krucyatę przeciw Prusom, zmiękczyły Poppona. Lękając się być zostawiony własnym siłom, przystał na nowy pokój z Świętopelkiem. Warunki w niczym się nie różniły od warunków poprzedniego, a co nie rokowało mu trwałości, to to, że Mestwin nadal pozostał w niewoli. W tym właśnie czasie arcybiskup gnieźnieński, znany nam już Fulko, czyli Pelko, dostał w darowiznie od Świętopelka trzy wsie: Kruszewo, Mole i Orzeł. Hojna ta darowizna jeżeli nie zjednała stanowczo Fulkona dla Świętopelka, to przynajmniej zobojętniła wroga jego działalność.

Po zawarciu pokoju wielkie zmiany zaszły w obozie nieprzyjaciół Świętopelka. Najpierw więc Konrad mazowiecki żyć przestał. Do mogli

ły towarzyszyła mu też sama nienawiść i pogarda ludu, jaka go otaczała przez ciąg życia całego. Poppo de Osterna, landmistrz pruski, usunął się od rządów, miejsce zaś jego zajął Henryk de Wida, człowiek waleczny, lecz niezręczny i bez porównania mniej przebiegły od poprzednika swego. W Infantach słabego Henryka de Heimbura zastąpił okrutny Groningen. Rządy jego rozścięły Łotyszów i Kuronów, i trzeba było tylko podmuchu z zewnątrz, żeby rozszedł bunt w posiadłościach zakonu inflanckiego. W Niemczech nieład doszedł do najwyższego stopnia. Kreatura Innocentego IV, Henryk landgraf Turynгии, wojuje z Fryderykiem; miejscowa więc hałastrą błędnych rycerzy ma aż nadto popłatnych zajęć w kraju i w razie potrzeby nie mogli już na ich pomoc rachować krzyżacy. W tej chwili mistrz Wida najniezrętniej gwałci traktat z Świętopelkiem, przez zajęcie Chrystburga, czyli Kiszporka (w późniejszym województwie malborskim.) Świętopelk, rad że wina zaciepki spada na mistrza, natychmiast rozpoczął działania wojenne: wpada do Prus i Kujaw, a zwycięstwo walne pod Gołubiem najzupełniej rozpręga siły krzyżackie. Tą razą już mistrz Wida zmuszony był prosić o pokój. Chodziło też Innocentemu IV o zakończenie tych waśni zakonu z Świętopelkiem. Więc legatowi swemu Jakubowi, archidyakonowi leodyjskiemu, jadącemu do Polski w celu pozyskania posiłków piędziennych od miejscowego duchowieństwa dla stolicy apostolskiej, rozkazał pogodzić wojujących. Dziełem zręczności legata tego był ostatni traktat Świętopelka z Krzyżakami w 1248 r. Warunki były następujące: krzyżacy ustąpili Świętopelkowi wyspy Nerung, a koryto Wisły od zamku Zantyr za granicę uznane. Książę zrzekł się dożywotnich praw do zamku Pin i do okolic Chelmnna; wolną żeglugę na Wiśle obu stronom zabezpieczono; Mestwin powrócony ojcu; wszelkie zaś następne zajścia rozstrzygać miał sąd polubowny, a w razie nie dojścia takowego, ostatecznie dwór rzymski.

Tak się skończyły te walki pamiętne. W stosunku do ofiar, korzyści osiągnięte przez Świętopelka były zbyt małe. Przed niepodobieństwem cofnął się on, lecz cofnął się jako bohater, po tyśięcznych dowodach odwagi i energii. On jeden zrozumiał interesa polskiej Słowiańszczyzny i służył im wiernie, gdy reszta książąt polskich wspomagała i przymierzyła się z Niemcami, odwiecznymi Słowian wrogami. Kolejną wielu meżów znakomitych, zamiast czci u potomnych, doznał tylko obelg i potwarzy. A przecie jedyna to bohaterka osobistość wśród Polaków i Słowian w wieku XIII.

Ostatnie dni życia Świętopelk przepędził, dzwignając z gruzów grody pomorskie i zagospodarowując swe księstwo. Umarł 1268 r., w ostatniej godzinie życia upominając ukochanego Mestwina, żeby ile możności strzegł się zakonu, podtrzymywał zaś przyjazne związki z książętami polskimi.

Wdzięczni Pomorzycy długo w klasztorze żukowskim przechowywali zbroję Świętopelka. Schütz widział ją tam w XVI wieku i podziwiał wzrost olbrzymi księcia. Jakże inny, całkiem inny kierunek wzięłyby były sprawy północnej Europy, gdyby Świętopelk rozrządzał wszystkimi siłami Polski; gdyby drugi współczesny mu bohater Mendog, zamiast wspierania słabego, wszystkie swe siły złączył z siłami Świętopelka; gdyby bitwy pod Gołubiem od bitwy pod Durbą nie oddzielało lat 13! Wtedy nie poprzestano by na korzyściach cząstkowych, a pogrom całkowity byłby oszczędził wiele krwi i katuszy plemionom słowiańskim i litewskim, wiele kart hańbiących dziejom ludzkości.

ROZMAITOŚCI.

Najdawniejsze imiona meżkie i żeńskie w Polsce.

Już przed wielu laty Karol Wilhem Humboldt, jeden z najgłębszych i najobfitszych w pomysłach językoznawców niemieckich, wyrzekł zdanie, iż

w imionach osób i nazwiskach miejsce kryją się najstarsze pomniki każdego narodu. Zachodzi tylko trudność w należytem ich teraz zrozumieniu.

W Słowiańszczyźnie co do miejsc, pochodzących od imion własnych, pierwszy zbiór takowych sporządził znakomity filolog Miklosicz, w piśmie wydanem pod tytułem *Die Bildung der Ortsnamen aus Personennamen im Slavischen*, Wien, 1864. W naszym języku, oprócz niektórych spostrzeżeń gramatycznych, wedle wskazówek tego uczonego, i spisów imion ogólnie słowiańskich, zwykle w kalendarzach umieszczanych, nie mamy żadnego właściwie miejscowego zbioru imion własnych starożytnych. Kryją się one dotąd w archiwach, po dyplomatach i aktach sądowych, a chociaż te ostatnie po za wiek XIV nie sięgają, przechowują przecie w sobie odgłosy owych zamierzonych czasów.

Gdyby kiedy uznano potrzebę podobnych wiadomości, dostarczyć ich mogą, bez zmuszonych nawet poszukiwań archiwalnych, drukowane dyplomatarjusze, akta ziemskie i inne tego rodzaju źródła. Do ich liczby właśnie należą *Starodawne prawa polskiego pomniki A. Z. Helcla*, gdzie znajdujemy przy rozmaitych sprawach sądowych wymienione imiona nigdzie nie drukowane, które gwoli ciękliwości czytelników podajemy.

I tak imiona meżkie, z czasem w nazwiska obrócone, były według niewątpliwych wskazówek pomiędzy innymi następujące: *Boczek, Bodzanta, Boruta, Dobek, Dunin, Grot, Garnysz, Hebda, Lassota, Mirosz, Mikosz, Niemsta, Niemira, Pelka, Prandota, Pasek, Strasz, Stańczyk, Sędzimir, Sędziwój, Skarbek, Włodek, Warsz, Wydzga, Wierzbęta, Wit, Zaklika, Zawisza* i t. d.

Imiona meżkie, mogące pochodzić z przedchrześcijańskich czasów, które noszone były jeszcze w XIV i XV stuleciach, a często tam występujące, są: *Boguta, Boguń, Budko, Boksa, Borzug, Bogdal, Bieniasz, Dżerław, Dobięgniew, Dołęga*, (to ostatnie śnadź później na znamię i herb zamienione), *Domrat, Dzierkoń, Dżewisz, Drogosz, Faliśław, Getko, Goworek, Gniwosz, Gierosz, Jarosz, Iwo, Imram, Jaksa, Lutek, Laczko, Milota, Mszczyszko, Mirczko, Mirosław, Mszczug, Mścigniew, Ninota, Nawig, Nawój, Przedborz, Pakosz, Przedwój, Przybko, Sławnik, Stańko, Świeszek, Sandko, Świensław, Stogniew, Sulko, Tomisław, Wyszek, Wyszon, Włost, Włosek, Wiernek, Wierusz, Wroch, Wrochon, Winiśław, Wanchnik, Wirchosław, Żyro* i wiele innych. Imiona meżkie, zastosowane lub powstałe z chrześcijańskich: *Krzyszek z Krzysztofa, Miklosz, Mikosz, Miczek, Mieżko z Mikołaja, Maczek, Maczeko z Macieja, Mach z Mateusza* i t. p.

W ten sam sposób wymieniane są także imiona żeńskie, które widocznie wytwarzały się z meżkich. I tak był *Bogun i Boguchna, Czech i Czechna, Gieras z Gierka, Mach i Machna, Nawaj i Nawojka* (tę ostatnią zamieniono później na *Jadwigę*), *Przybysław i Przybka, Sandko i Sandochna* (później przemieniona na *Annę*), *Świensław i Świennchna, Warsz i Warszka, Zbigniew i Zbichna, Zdźisław i Zdźichna* i t. d. Imiona żeńskie, niemające odpowiednich meżkich, są: *Bichna, Derska, Drazna, Klichna, Mórzka, Niedomina, Ofka, Piechna, Śmichna, Sochna, Strzechna, Wiechna, Wyrona, Zuchna* i t. p. Wreszcie urobione z chrześcijańskich: *Agnieszki Jachna i Jagenka, z Krzysztofa Krzychna, z Praksedy Prachna, ze Stanisława Stachna, z Wojciecha Wojchna* i t. p.

P O E T A.

Wstęp do utworu obszerniejszego.

Przez W. J. B.

„Dość już tych pieni, dość tego kwilenia!
Zabrmijcie głosem, który świat obudzi.
Ten dźwięk słowiczy, te lzy i westchnienia
Wstrząsają tylko, lecz nie zmienia ludzi.“

Tak świat zawoła. I biedni poeci
Zmieniają tony, biją w struny lutni;

Lecz chociaż promień w ich pieśni zaświeci,
Daremnie patrzą, strwożeni a smutni.

Świat obojętnie te pieśni przyjmuje;
Czasem się bólem rozczuli, poruszy,
Czasem żal jakiś litości uczuje,
Czasem w nim zadrgnie znajomy głos duszy;

Ale najczęściej ton przebrzmi bez echa
I ani jedna struna nie uderzy;
A on, poeta—jemu się uśmiecha
Myśl, iż jest jednym z szczęśliwych rycerzy,

Z owych rycerzy, co sztandar zbawienia
Niesli przed ludem i na murach grodu
Zatknęli pierwsi. Pełen upojenia,
Marzy... iż stał się rycerzem narodu.

Marzy iż jego uczucia gorące,
Jego myśl lotna, marzenia zamłodu,
Czyny, promieniem poezji świecące,
Stoją sztandarem na sercach narodu.

Marzy i roi i zbudzić się nie chce:
A wkoło niego obojętne świadki.
Ten czasem dumę człowieka poechech,
Ci rzucą zimnych oklasków ostatki;

Ten się uśmiechnie, inny pochwalnemi
Słowami jakąś oracyą gotuje;
Wszyscy winszują, a nikt mu na ziemi
Serdeczną nutą pieśni nie wtóruje.

Przychodzi chwila—poeta się budzi,
A przeglądając ścieżki swój włóczęgi,
Pyta z obawą: „Czy choć jeden z ludzi
W prąd mojej został porwany potęgi?”

Czy lutnia moja, sercem rozegrzana,
Umiała zagrać na sercach narodu?
Czy myśl poety, uczuciem wezbrana,
Starłszy skorupę, dobiegła do spodu?”

A wtedy boleść drżące łono ścisła
I głos wyrzutu serce mu kaleczy:
— Kto chce poety być godzien nazwiska,
Niechaj nie rani swą pieśnią, lecz leczy.

PORADNIK

DLA KUPUJĄCYCH KSIĄŻKI.

ŚWISTKI SYLENA, *pozbięrała Etcetera Bomba. Także Meandry. Poznań 1876. Cena kop. 75.* Jest to zbiorek poezji, pióra jednego z niewielu przechowujących dziś jeszcze ducha i natchnienie poetyczne, p. Felicyana, to bowiem znane w piśmiennictwie naszym imię kryje się pod niezbyt estetycznym pseudonimem Etcetera Bomby, a że pojedyncze utwory z tego zbioru były już różnemi czasami drukowane w pismach peryodycznych z podpisem autora, nie będzie więc może to wykrycie niedyskretne. Sylen było to bóstwo płocze, swywołne, a zarazem mające w sobie, obok pierwiastku boskiego, coś z natury zwierzęcej: „bydłę i bóg w jednej skórze,” jak mówi poeta w wierszu wstępnym. Z tego wynika, że dla Sylena mało co jest świętego, a igraszka, sarkazm, niekiedy nawet cynizm—są to jego żywioły. W tymże wierszyku wstępnym poeta powiada, że nieprawdą jest, jakoby Sylen nie istniał: „ja z temi memi przyrodami dwiema, jestem ty, on, wy lub oni”—to znaczy że między ludźmi Sylenów sporo. Tetrzy wiersze, zdaniem naszym, dokładnie charakteryzują ducha i koloryt „Świstków”: poeta staje na stanowisku Sylena, usprawiedliwiając się tym, że i znaczna część ludzkości z Sylenów się składa. Przeciwno tej myśli zasadniczej trudno walczyć: co do nas przynajmniej, nie będziemy dówodzili, wbrew poecie, że ludzkość jest bóstwem, bez przymieszki owęj drugiej natury. Zgodnie z tą myślą zasadniczą, poeta mało idealizuje, a mniej się jeszcze zachwyca: szereg obrazków zawartych w „Świstkach,” na których treść złożyły się rozmaite wie-

ki i narody, celuje sposobem traktowania żartobliwym i lekkim, często sarkastycznym i pełnym ironii. Wszelako Sylen nie zapomina i o swojej lepszej naturze: tu i owdzie pod przymuszonym śmiechem ukrywa się jęk głęboki, a kilkoma lekkimi słowy, jakby od niechcienia, muza Sylena dotyka najbardziej jęczących się ran ludzkości. Sylen nie bierze rozbratu z ideałem: owszem, każdy myślący czytelnik odrazu pojmie dążność każdego z tych obrazków, które, przesuwając się, jak w kaleidoskopie, dla jednych mogą być tylko rozrywką, dla innych — źródłem i tematem myśli poważnych, częstokroć smutnych. Sylen ma dwie twarze, jak Janus: pełne humoru, dowcipu i ironii „Świstki” jego sprawią czytelnikom powierzchownym śmiech tylko i rozrywkę, ale głębiej sięgającym i z poważniejszej przedstawiają się strony. Do perełek tego zbioru należą, zdaniem naszym, następujące obrazki: „Królowa Nofreari,” w której dosłyszeliśmy jęku i rezygnacji wobec nieubłaganego fatum — śmierci; „Danae,” zjadliwie dotykająca starego tematu o stosunku miłości do złota; „Hero i Leander,” utwór sceptycznie traktujący miłosne zapale; „Pogrzeb Ibisa,” w którym żartobliwie dotyka autor zabobonów ludzkości; „Perła Kleopatry,” „Incitatus” i „Antypody,” ironicznie dotykające dziejowych losów biednej ludzkości; wreszcie pełen ironii, a nawet zółci ustęp „Z wełnianego jarmarku,” którego wydrukowanie niedawno w Kuryerze warszawskim, pod nieco zmienionym tytułem, wywołało trochę wrzawy. Zdaje się, że zasadniczą myślą tego obrazka jest zozydzenie przesady w strojach i ruchach, to jest „wzięcia się,” czy „manier,” które tak wiele dziś znaczą na świecie, zwłaszcza pomiędzy płcią piękną. Króciutki urywki, nazwane przez autora „Meandrami,” nierównie stoją niżej od „Świstków.” Formą włada autor umiejętnie i z łatwością; czasami tylko dla rymu poświęca prostotę, jak np. „lud... nieznanie *czcił tęschnoty*” (tak pisze wszędzie autor ten wyraz; str. 15), albo „Świetli się tkanka... w tęczę i przemoc promieni” (str. 43, Afrodyta Anadyomene). Licencya poetyczna prowadzi nawet niekiedy autora do gwałcenia praw języka, jak np. „gdy w groźnym wzroku twoim *tkwiąc* spojrzenie” (str. 28); „*bluźniąc swą dolę*” (str. 35); dreszczy (str. 37) i t. d. Błędów takich jednak niewiele. Ostatecznie, zgodnie z tym cośmy powiedzieli o dwoistości Sylena, możemy polecić jego „Świstki” do czytania i mniej, i więcej myślącym czytelnikom, to jest — wszystkim.

2. STARA BAŚŃ. *Powieść z XI wieku przez I. J. Kraszewskiego, 3 tomy. Kraków 1876 r. Cena rubli srebrem 3.* Niezmordowany kolos i przewodnik naszego piśmiennictwa, Kraszewski, w ostatnich czasach ze szczególnym zamiłowaniem trzyma się sfery powieściopisarstwa historycznego, którą potężnym, wiecznie młodym i bogatym w pomysły swoim talentem podnosi do takiego stopnia blasku i świetności, jakiego słusznie mogą nam pozazdrościć literatury zagraniczne. Przedsięwziawszy wydać nakładem spółki księgarzy cały cykl utworów tego rodzaju, obejmujących wszystkie epoki dziejów naszych, Kraszewski daje nam, jako początek tej epopei w prozie, niniejszą opowieść, osnutą na tle epoki półbajecznych Popielów. Główną os „Staręj baśni” stanowi wojna domowa swobodnych kmieci polańskich z okrutnymi krwiożerczym Pepelkiem czyli Chwostkiem, księciem na Kruszwicy, zguba tegoż i przedświt nowej ery, z wyniesieniem na księstwo Piasta i założeniem nowej stolicy—Gniezna (podług autora Kneźno, od *kneź*, nie zaś od gniazda orlego, jak dotychczas mniemano). Podanie kronikarskie o myszach, które zjadły Popiela, autor pojmuje jako alegoryę, rozumiejąc przez myszy ród kmieci Myszków. Są tu także i owi dwaj goście cudowni na postrzyżynach Ziemiowita, choć tradycya o cudownem pomnożeniu jadła i napoju pominięta. Tyle wzięł autor z podań przedhistorycznych—krótki ich zarys znajduje się przy końcu dzieła—resztę uzupełnił sumiennymi studjami, zupełnym, właściwym sobie przejęciem się duchem epoki, wreszcie twórczą fantazyą poetyczną, która opromienia tajniki przeszłości, i ciepłem

serdecznego uczucia, którym otacza to wszystko co rodzime, a piękne i tym ponętniejsze, że dawno przebrzmiało i zamarłe, o ile nie było zarodem i nasieniem późniejszego rozwoju dziejowego. Nie traci też autor z przed oczu i myśli dziejowej; szczególnież zgubny wpływ Niemców wystawiony dobitnie. Przedstawicielami tego wpływu są: podstępny wysłaniec Hengo i księżna, rodem Niemka, godna poprzedniczka Ryksy, której dał autor imię Brunhildy—krwawej bohaterki Nibelungów. Wstrętna postać Pepelka, jak odmalował ją autor, mało też ma cech słowiańskich: pomimo tradycyji kronikarskich, śmiemy przypuszczać, że między Polanami nie było takich władców—mógł to być chyba Norman jaki. Krewni i powinowaci księcia, ród Leszków, występują także w niezbyt sympatycznym świetle: chociaż sami padają ofiarą okrutnika, wszelako kierują się więcej własnym interesem, niż dobrem kraju. Jako przedstawiciele interesów krajowych, występują swobodni jeszcze wtedy kmiecie. Świat ten kmiecy odmalował autor szczegółowo i z zamiłowaniem: są tu i obrazy życia domowego, opisy wesela, pogrzebu i uct, i zarysy obrad publicznych (wieców), i obrzędy religijne Kupały, i ceremonie w świątyni Nii na jeziorze lednickim, i opisy życia wojennego—jednym słowem całkowity i wszechstronny wizerunek społeczeństwa owych odległych wieków, odtworzony i odczuty przez historyka-poetę. Zgodnie z prawdą historyczną, autor przedstawia naszych przodków z IX wieku jako naród spokojny, łagodny i do miecza tylko dla obrony, w ostatecznej konieczności, pochopny. Niemniej prawdziwie, w mistrzowskim obrazie narad publicznych, już w owęj odległej epoce występują: zarozumiałość, swarliwość, duch nieładu, niezgodność i brak wytrwałości—które należą od dawnych czasów do ujemnych cech charakteru narodowego. Pomiedzy postaciami ze świata kmiecego górują patryarchalny Wisz i mądry Piastun, czyli Piast; jako charakter dzielny i namiętny, występuje Doman, którego zabiegi o Dziwę, córkę Wiszową, uwieńczone wkońcu pomyślnym skutkiem, stanowią romantyczny żywioł opowiadania, zresztą bez wielkich powikłań, bez misternej intryg tkanki. Dziwa góruje ponad wszystkimi postaciami niewiast w powieści: początkowo jest to westalka słowiańska, żelazem broniąca się od oblubieńca; ale wkońcu iskra kobiecości rozwija się w jej sercu w czysty płomień. Wyborne są także postacie podrzędniejsze, szczególnież zausznik księżny Znosek i wiedźma czyli znachorka Jaruha. Tu i owdzie odtwarza autor pieśni bohaterkie i weselne, poczęści na ludowej poezji oparte, poczęści własnego utworu; niektóre z nich są bardzo udatne. Ostatecznie nie potrzeba nawet mówić, że niniejsza powieść może i powinna stanowić dla wszystkich pożywnę i pouczające czytanie.

3. CÓRA HAMILKARA, *Gustawa Flauberta, przekład Natalii D. Kraków 1876. Cena rs. 1 kop. 65.* Powieści Flauberta, zwłaszcza ostatnie, poczęwszy od „Pani Bovary” nie są zbyt budujące; wszelako niniejsza, nosząca w oryginale tytuł „Salambo,” należy do okresu wcześniejszego i w swoim czasie cieszyła się u Francuzów wielką wziętością. Autor napisał ją przed kilkunastu laty, po świeżych odkryciach, dokonanych na gruncie starożytnęj Kartaginy. Wyniki tych badań Flaubert przestudował sumiennie i wszechstronnie, i na tle życia Kartagińczyków z epoki pomiędzy pierwszą i drugą wojną punicką (241—218) osnuł swoją opowieść. Z tego to mianowicie względu—jako żywy i popularny obraz tak mało znanych i tak wybitnie oryginalnych starożytności Kartaginy—powieść „Salambo” obudziła żywe zajęcie pomiędzy wiecznie żądnymi nowości Francuzami. Obraz—to jaskrawy, ponury i grozą przejmujący: egoizm, nierzeczność i zimne okrucieństwo kupieckiego narodu Kartagińczyków, straszliwe ofiary ludzkie, składane Molochowi, mordy i okropności walki wytopienia ze zbuntowanymi najemnikami, groza rozpasanych lub mistycznych zabobonów — wszystko to złagodzone i uprzyjemnione nieco opisem niesłychanych bogactw, zbytków i wykwintnych rozkoszy życio-

wych i pysznej afrykańskiej przyrody. Wszystko prawie jest tu ściśle historyczne, a opis położenia Kartaginy i jej gmachów, drobiazgowo dokładny i nowy, nie pozostawia nic do życzenia. Postacie, obracające się w tej dzikiej i upajającej zarazem pogańskiej atmosferze, są w ogólności wstrętne, choć wybornie odmalowane, jak sufeci (królowie kartagińscy), Hanon i Hamilkar, kapłani, dowódcy najemników Maton i Spendius. Córka Hamilkara Salambo, główna bohaterka powieści, przedstawiona jako dziewczę naiwne, zatopione w praktykach mistycznych, czyniące z siebie dla kraju ofiarę, nie pojmując jej doniosłości. Sytuacja bohaterki kilka razy jest więcej niż drażliwą i odmalowaną jaskrawo... Z wyjątkiem wszelako tych kilku ustępów, książka jest wogóle zajmująca, a przytęm pouczająca, gdyż odkrywa przed czytelnikami wszystkie tajniki tak odległego i mało znanego świata. Zawiele tu krwio, mordów i pożog; ale kto zna historię Kartaginy i owę epokę, musi przyznać że i w tych okropnościach więcej jest prawdy historycznej, niż przesady. W oddaleniu, na tle tak straszliwej epoki, pokazuje nam autor, małym jeszcze chłopcem, przyszłego mściciela Kartaginy i pogromcę Rzymu—Hanibala. Co do przekładu, należy wyznać że pozostawia on wiele do życzenia: pani Natalia D. okazuje nietylko brak wprawy literackiej, ale często nawet nieznaną języka; sporo tu także galicyzmów, wypływających ze zbyt niewolniczego trzymania się oryginału.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Stare i nowe dzieje.—Wschód i zachód.—Austro-węgierskie dziennikarstwo a Słowianie.—Poczucie sprawiedliwości w XIX wieku.—Przyjaciele Turków.—Niemieckie dzieje i zawody.—Bismarck posepny.—Stronictwa w Niemczech.—W. Warcine.—Dra Lambla O depekoryzacyi.—Bydło i ludzie.—Romanse i krytycy.—Gottschall o Marlitt i Wernerze.—Popularność i uczeni.—Romans historyczny.—Gottschall „Im Banne des schwarzen Adlers.“—Feliksa Dahna Walka o Rzym.—Kilka słów o tym romansie.—Dahn i Prokop.—Karol Simrock.—Jego prace.—J. J. Lederer.—Wagnera opera w Bayreuth.—Kretschmer.—Brühl.—Tekst Nibelungów i p. Lindau.

Wojenna wrzawa na Wschodzie mimowolnie rozbudza wspomnienia stare... boje z Tatury, wyprawy przeciw Turkom, nieustanne nawoływania naszych poetów i publicystów... *jam proximus ardet Ucalegon*... Imiona Warszewickich, Klonowiczów, Twardowskich i tylu innych przychodzą na myśl... Historia nasza pełna tych walk przeciw niewiernym, aż do Jana III, który spełnia narzeczenie to, co było wiekuiście *in votis*. Zamykają się dzieje samoistnej rzeczypospolitej rycerską wyprawą tą, którą polityka naganić mogła, ale opinia całego świata bohaterską, szlachetną uznała. I dziś to państwo niewiernych, nieprzyjaciół chrześcijaństwa i cywilizacyi, jakże zupełnie różnie jest widziane i sądzone w Europie, iluż liczy sprzymierzeńców i obrońców! Jak charakterystycznie maluje to dobę dziejową, która nie zna nic i widzieć nie chce, nad materyalne interesa chwili obecnej.

Zakres naszych korespondencyj nie dozwala nam sięgnąć głębiej w badanie przyczyn, w rozwikłanie kwestyj politycznych, które je wyjaśniają. Ażeby mieć pojęcie, do jakiego stopnia obawa o własny interes roznamiętni i zaślepić może, dosyć spojrzeć na dzienniki austriacko-węgierskie i ich usposobienie dla nieszczęśliwych Słowian. Nigdy nielitościwiej nie urągano się ucisnionym barbarzyńską wojną, nigdy z zimniejszą krwią niespoglądano na rzeź, spustoszenie, pożogę i barbarzyński fanatyzm. Zamiast ubolewania, Niemcy i Węgrowie ciskają urągowskiem cynicznym. Wymagają oni od plemion południowych słowiańskich cywilizacyi, której warunki ich bytu nie dopuszczają, zrzucając winę

zdziczenia na nie, gdy ona właśnie spada na to jarzmo muzułmańskie, które od wieków ciężym na niemi. Taki jest sąd oświeconego stulecia XIX! taka jest sprawiedliwość społeczna! I nie w jednej kwestyi południowych Słowian spotykamy dowody zwicnięcia moralnego poczucia sprawiedliwości.

Zaprawdę, XVIII wiek chorował na mrzonki, budował zamki na lodzie, bawił się w utopie, radykalizmem swym narobił złego wiele—ale, bądź co bądź, był on jeszcze wiekiem pragnień, rojeń, popędów szlachetnych, omyłek heroiczych, wiary w ludzkość i wysokie powołanie człowieka;—dziś, przy ogromnym postępie na polu rzeczywistości, co za moralny upadek, do jakich doszliśmy zasad i przekonani!

Walka o byt, która się rozpoczyna w rodzinie, przesuwa przez stosunki różnych klas społeczeństwa, odbija się naostatkiem w międzynarodowych sprawach i polityce ogólnej. Państwo zabiło człowieka. Mołochowi temu na ofiarę oddajemy cośmy najdroższego mieli. Turcy są komuś potrzebni dla równowagi w Europie, jako balast dla żeglugi—więc na ofiarę im niech idą Słowian miliony.

Odwróćmy oczy od tego smutnego widowiska, a spoczniemy, patrząc na... szczęśliwe państwo niemieckie. Tak jest, ma ono wszelkie szczęścia warunki i czego tylko pragnąć mogło, dobiło się, pozyskało; zdaje się że mu nie zbywa na niczym co do potężnego rozwoju posługuje—a jednak... jednak rozpisana pożyczka pruska stumilionowa znalazła tylko na czwartą część swą amatorów, gdy spólcześnie Paryżowi ofiarowali kapitaliści miliard na pokrycie kilkudziesięciu milionów! Jakże się tu nie dziwić i nie gniewać! W dodatku przemysł wielkiego państwa, wedle sądu najkompetentniejszego, na wystawie w Filadelfii padł zwyciężony i pobity, choć go olbrzymie działo Kruppa broniło.

Niedziw też że ci, co mają szczęście zbliżyć się do księcia kanclerza i zaglądać mu w oczy, mówią iż w nich maluje się smutek, niepokój, zniechęcenie, znużenie. Zawiodły wszelkie rachuby, oprócz jednych... Moltke'go. Państwo zabiło człowieka, a żołnierz zjadł wszelki przemysł i sparaliżował wszelką pracę. Pod hegemonią Prus Niemcy stały się obozem i koszarami, pierwszemi może w Europie, ale czasu pokoju pod bronią stojąc—cierpią. Niemiec daje się czuć wszędzie, oprócz w ministerstwie wojny.

W parlamentarnym życiu znowu narodowo-liberalne zastępy okazały się niedosyć powolnymi. Na przyszłą kampanię trzeba myśleć o nowych zaciągach. Daleko jeszcze dosyć do wyborów, a już stronictwa się szykują, programy głoszą, wodzów wyznaczają, słowem trosk o przyszłość niemało.

Wszystko złe, które od r. 1872 ciągle rosnąc, daje się czuć tak dotkliwie, spada na liberalne stronictwo i jego czynności, choć samoistnie partya obwiniona nie dokonała niczego, ani nawet powstrzymać nie potrafiła. Dziś ona w oczach agraryanów jest kozłem ofiarnym; zachowawcy wszelkich odcieni jej przypisują zawody.

Ze strony księcia kanclerza milczenie gębockie; nie zrywa on ze swymi sojusznikami, bije tylko na postępowców, na nich ciskając pioruny. Z jednej strony zaręczają już, że landraci mają rozkazy działać w sprawie zachowawczego stronictwa, z drugiej utrzymują, że liberalni mieć mogą poparcie. Przyszłość niejasna. Mąż władający tu wszystkiem opasuje się tajemnicą, zasklepia milczeniem, okrywa obojętnością i zaprzysięga, że o niczym wiedzieć nie chce, do niczego się nie miesza... Do Warcine nie dopuszczają nikogo—tu panuje spoczynek i cisza... Kissingenkie wody pomogły, lecz po nich trzeba wytchnienia. Na pozór więc śpi polityka, a nad nią latają kaczki, trzepocząc skrzydłami.

Cisza głucha i smutna.

Rozprawa dra Lambla „O depekoryzacyi“ zaledwie przerwać ją była zdolna.

Wiścież, szanowni czytelnicy, co znaczy ten straszliwy, wyglądający rogato i dziwacznie wy-

raz, kryjący w sobie klęskę nową?—Depekoryzacya!

Europa choruje na depekoryzacya! Wyraz i odkrycie prawa smutnego, które zrządza, że w miarę zwiększania się ludności, zmniejsza się liczba bydła—winniśmy Niemcom. Dr Lambl przekonywa statystycznymi cyframi, iż może nadejść chwila dla Europy, gdy jej zabraknie sztukamięsy i mléka. Z wyjątkiem Rosyji i Prus, ostatnie rachuby w czterestu państwach europejskich wskazują ubytek 1,761,446 wołów i krów i 8,736,286 owiec i baranów. Ludzi zato przybyło, ale ci właśnie tém więcej potrzebują mięsa... *Chair à canon* rośnie, lecz mięsa jadalnego ubywa.

Nawet w tych krajach, w których hodowla bydła stoi najwyżej, w Saksonii, Belgii, Anglii, Francji, depekoryzacya czuć się daje; rośnie ona i tam gdzie zboża wywóz jest znaczny, jak w Austrii, Wirtembergu, Bawarii i Szwajcaryi. W tym samym stosunku jak bydła ubywa, liczba ludności się powiększa. Obszary ogromne Rosyji tłumaczą, dlaczego tu wzrost zaludnienia wcale nie przeszkadza pomnażaniu się bydła; lecz niezrozumiałem jest dla nas, dlaczego i w Prusach dzieć się ma podobnie.

Dr Lambl tłumaczy fenomen depekoryzacyi, to jest wybydlenia (jeśli się tak wyrazić godzi), tém, że ziemi która żywi bydło, nie powraca się nigdy w całości tego co jej odebrano. Zaledwie jedną trzecią oddaje jej się nawozami, reszta rozchodzi się po świecie. Wnioski jakie z odkrycia tego prawa dla gospodarstwa wyciągnąć się dają, dr Lambl ogranicza do rady ogólnej jaknajpilniejszej i najtroskliwszej gospodarki około wyczerpującej się roli.

Potrąciliśmy tylko o jedną z tych kwestyj żywotnych, które w tej chwili tu zajmują; nie jest zresztą rzeczą naszą dłuższą się nad nią rozwodzić. Radziłyśmy równie gorącą kwestyą literatury i spraw ducha znaleźć na porządku dziennym; lecz tu chybabyśmy zanotować musieli pewien rodzaj niepokoju, objawiającego się w kołach literatów i krytyków, z powodu piśmiennictwa powieściowego.

Okazuje się iż powieściopisarstwo wogóle dobiło się uznania, rozpowszechnienia, wpływu, którego mu pp. Lindau i Gottschall zazdroszą. Sława panny John (Marlitt) niepokoi i oburza ludzi poważnych, co się o nią dobijając, popularności lada Marlitta i Wernerora dorobić się nie mogli.

Gottschall spostrzega, iż w literaturze niemieckiej dziwny fenomen się objawia, jakiego nie znajduje nigdzie indziej. Tu krytyka i poważny zastęp sędziów obraca się około wcale innych imion, nieznanych ogółowi, mającemu swych ulubieńców. Na kartkach historii literatury spólcześnie stoją imiona o których publika nic nie wie. „Imiona, które w dziejach piśmiennictwa jaśnieją, pisze Goltshell, są dla ludu miedzią brzęczącą, dzwonem brzmiącym; imiona które u każdego domowego ogniska z ust do ust przechodzą, w poważnym literackim dziennikarstwie zaledwie zasługują na wspomnienie, w dziełach zaś o literaturze ledwie skromnie znajdują miejsce. Ta sprzeczność w Niemczech nie od dzisiaj panuje: za czasów naszych klasyków już istniała. Z tém wszystkiem oznacza ona w narodowym wykształceniu próżnię, która niezupełnie zdrowy i normalny stan znamionuje. Conajmniej obowiązkiem jest krytyki wielkiego powodzenia prawdziwe zbadać przyczyny, a tam gdzie miara estetyczna do ocenienia ich nie starczy, moment dziejowej kultury wziąć w rachubę.“—Od tych słów poczyna przywiedziony krytyk rozbiór dwóch powieści panny John (Marlitt): „Druga żona“ (wydanie trzecie) i „Księżniczka wrzosów“ (wydanie drugie), oraz trzecią C. Wernera (także kobiecego pióra), „Szczęść Boże!“—„Zerwane więzy“ i „U ołtarza.“

Jak pan Lindau dawniej, tak i Gottschall w znacznej części popularność Marlitta i Wernerora radby przypisać mechanicznemu niejako rozpowszechnieniu pisma Gartenlaube, które liczy dziś blisko 400,000 abonentów, a pewnie pięć razy więcej czytelników; jednakże Gottschall zmuszony jest przyznać, iż powieści obu pań tych

odpowiedziały potrzebie chwili i jej smakowi, a nie są bez pewnych zalet, ani bez talentu stworzone. Słuszną jest poniekąd uwaga, że w romanach Marlitta głównym typem zawsze jest w rozmaity sposób przebieżany rodzaj kopcieszka, który siłą ducha swego wybija się na wierzch i zdobywa należne sobie stanowisko. Niesprawiedliwością jednak byłoby zapomnieć o tym, że obok głównych postaci, mnóstwo charakterystycznych i wybornie skróślonych typów, wiele urozmaiconych, talentu aktorki wybitnym jest dowodem. Gottschall zmuszonym się widzi w końcu uznać fakt spełniony i do pewnego stopnia go usprawiedliwić.

Drugą kwestyą stojącą na porządku dziennym sama przez się, nie teoretycznie, lecz praktycznie, jest odzyskanie i nowe ukształtowanie się romansu historycznego. W Niemczech szczególniejszemu romans historyczny w ostatnich czasach, nie mówiąc już o zmarłym L. Mühlbach, widocznie zyskał na wziętości i coraz szczęśliwiej jest uprawiany. Krytyka zarzuca wiele Freytagowi; ale pierwsze jego powieści z prastarych czasów historii Germanów znakomite z tym wszystkiemu mają piękności. Surowo też osądzono grecką Aspazją Hamerlinga; ale coraz nowe próby w tym rodzaju dowodzą, wbrew krytyce nazbyt wymagającej, a często widocznie kwaśno *a priori* usposobionej, że historyczne te obrazy mają zarówno pociąg dla piszących i czytelników. Ten sam Gottschall, którego krytykę powieści Marlitta i Wenera przywiedliśmy wyżej, napisał dawniej przez nas już wspomniany historyczny romans „Im Banne des schwarzen Adlers,“ z czasów Fryderyka zwanego Wielkim i pierwszej wojny szląskiej. Umiejętnie zbudowanemu opowiadaniu temu, do którego obfity i łatwy materiał mógł znaleźć autor w licznych pismach społecznych i pamiętnikach, nie zbywa na zajęciu i dowodach talentu wyrobionego długą i wielostronną pracą; nie będzie ono jednak ani tak popularnym, ani tak pociągającym, jak powieści w których więcej jest ognia i natchnienia, niż wprawy i kunsztu. Pomimo zarzutów czynionych Freytagowi, jest w nim nieskończenie więcej poezji i siły, a nawet kolorytu, którego materiał szczerpły wieków odleglejszych gotowym dać nie mógł.

Najznakomitszym nowym dziełem w tym rodzaju jest obszerny romans Feliksa Dahn'a „Walka o Rzym.“ (Ein Kampf um Rom, historischer Roman. 4 Bände, Leipzig, Breitkopf. Hartel 1876) obraz dziejowy, w całym znaczeniu tego wyrazu, oparty głównie na Prokopie i przenoszący nas w VI wiek po Chrystusie. Siedmiu księgom jego autor dał imiona głównych postaci historycznych, które wprowadza na scenę. Jestli to romans, czy odżywione dzieje? coś między tym dwojgiem pośredniego. Tak samo jak Gottschall, trzymając się teorii najpowszechniej przyjętej, główną postacią swojego romansu czyni swobodnie utworzoną, wcale nie historyczną figurę szląskiego junkra Artura von Seidlitz—Dahn także skupia główne światło i opiera akcję swą na zmyślonym Rzymianinie Cethegu, około którego wszystko się obraca. Naprzemiennie wierny historii aż do drobnostek, lub przetwarzający ją na swój sposób, Dahn z wielką swobodą układa powieść, która wiek, obyczaj, ogólny charakter epoki wybornie maluje.

Pedanterią byłoby śmiesznie zarzucać mu, iż w osnowie romansu posługuje się sprężynami, które dla nadania życia całości stworzyć musiał. Nie mamy mu nawet za złe, iż przywołując Prokopa, raz go cytując wiernie, to zmyśla na jego rachunek. Zdaniem naszym pierwiastek ściśle historyczny i fantazyja są tu w stosunku takim, jakiego sztuka wymagała, i szczęśliwie z sobą się łączą. Czy prof. Dahn właściwie tłumaczy losy Gotów i rolę jaką odegrali na ruinach państwa rzymskiego—nie wchodzi to w zakres literackiej krytyki. Zadaniem jego było, jak się nam zdaje, odzworować wiek głównie, a z tego się bardzo wywiązał szczęśliwie. Freytagowi zarzucano zbyt wiele, choć prawie nieuniknione, archaizmy w języku, szczególniejszemu w rozmowach; Dahnowi można zarzucić, że często rozczarowuje moder-

nizowaniem przeszłości, daleko więcej raziącym, jak na przykład gdy król Totilla poetę rzymskiego Pisona zowie „kolegą w Apollinie“ i t. p. Krytyka niemiecka, sądząc bardzo pochlebnie dzieło prof. Dahn'a, słusznie co do pewnych umyślnych sprzeniewierzeń się historii przypomniła prawidłowo ogłoszone przez Lessinga dla historycznego dramatu, któremu dozwalał poeta gwałcić dziejowe fakta, byle charakter epoki był zachowanym. Tę swobodę powinien też mieć i romans historyczny, przynajmniej do pewnego stopnia. Poczucie granicy tego, co dozwolonem jest, a co wzbudzonem, zostawić potrzeba opracowującemu epokę, który najlepiej ocenić może, co w jej obrazie stanowi rys główny, a co podrzędne. P. Karol Schultz, jeden z niezliczonych Schultzów, którzy się spotykają w Niemczech, rozbiłając romans Dahn'a, zarzuca mu że w opisie zmyślonym bitwy u Wezuwiusza, fałszywie cytuje Prokopa, chcąc nadać pozór historyczny urojonym szczegółom i opisom. Byłaby to sprawa niezupełnie czysta, ale... potrzebaby usłyszeć obronę i sprawdzić obwinienie, co innym wolęmy pozostawić.

Literatura niemiecka utraciła w zmarłym profesorze Karolu Simrocku jednego z najzasłużniejszych swych pracowników. Sędziwy poeta skończył życie w Bonn, doszedłszy lat 74 i nie ustając w pracy do dni ostatnich. Simrock wybornymi przekładami swymi starych poetów zapomniane te skarby przywrócił literaturze narodowej i podaniowe pieśni popularnymi uczynił. Rozpoczął on w r. 1830 od przekładu „Biédnego Henryka“ Hartmanna von der Aue; w r. 1833 wydał pieśni Waltera von der Vogelweide (wysła ich świeżo 6 edycya); za temi poszły w r. 1835 „Wieland der Schmidt,“ obrobienie ułamkowych poematów; w r. 1842 Parciwa i Titurel, Gudruna, Amelungi i t. p. Niebelungi Simrocka są prostym tłumaczeniem, Amelungi mogą się nazwać utworem jego, z pozostałości i na tle podanych osnutym. Oprócz tych, dla literatury nowszej przyswojonych dawnych poezji, Simrock napisał i wydał w r. 1839 „Malowniczy i romantyczny kraj nad-reński.“ Zajmował się także zbieraniem ludowych gadek, legend, baśni, przysłów, pisemek, które wychodziły w osobnych książkach i wiele się rozposzechniły; ułożył wypisy ze starych niemieckich pisarzy; nakoniec tłumaczył dawną i nowszą Eddę i napisał podręcznik mitologiczny. Jemu Niemcy winni są także kilka przedruków ksiąg rzadkich, jak Sebastjana Brandta „Narrenschiiff“ (Navis stultorum), jednej z najpopularniejszych ksiąg satyrycznych z końca XV wieku i t. p. Simrock swoimi badaniami i tłumaczeniami, można powiedzieć, związał przeszłość zaniedbaną z teraźniejszością i ducha tej stariej poezji przelał, w części przynajmniej, w nową. Słusznie też Niemcy oteczyli starca poszanowaniem wielkiem i zgon jego wywołał żal powszechny. Jeden z uczniów nieodżałowanego profesora, Karol von Thaler, tak go maluje: „Simrock wyglądał niemal ponurym. Wysoka jego, wychudła postać, twarz szczerpła i żółtka, włos czarny (zaczynający wówczas siwieć), nawisłe brwi, czyniły wrażenie surowości i niezłomnej energii. Gdy rano o wpół do ósmej wychodził ze swego mieszkania, przyodziany w długi, do kostek sięgający surdut granatowy, wyglądał jakby na nieubłaganego kata młodzieży.“ Simrock jednak, mimo tej powierzchowności, nie był nim wcale. Lubił żartować, odzywał się najeżęściej humorystycznie i nie zbywało mu nigdy na wesołych conceptach. P. Thaler utrzymuje, iż Simrockowi droższą była sława uczzonego badacza, niż poety i głównie do niej przywiązywał wagę.

Zmarły niedawno w Dreźnie pisarz i poeta dramatyczny dr. J. J. Lederer znanym był szczególniejszemu z kilku sztuk, które na scenach niemieckich miały powodzenie; pisał także krytyki i poezje satyryczne. Z początku obrał był sobie zawód duchowny i studiował teologią; następnie przeszedł do medycyny, zmienił ją na juryspudencją i w ostatku skończył na pracy literackiej, która była jego powołaniem istotnym. Niema wątpliwości że ta różnorodność studiów nietylko mu

nie zaszkodziła ale, wielostronne dając wykształcenie, wzmogła jego siły duchowe.

W chwili gdy to piszemy, przygotowuje się przedstawienie wielkiej epopei muzycznej Wagnera w Bayreuth. Pisma peryodyczne pełne są studyów przygotowawczych i wiadomości o spodziewanych cudach wielkiego dramatu. Król bawarski, zwolennik muzyki Wagnera i przyjaciel jego, zjeżdża tylko na ostatnie próby; cesarz ma przybyć na parę dni pierwszego przedstawienia. Na trzecie przed kilką dniami już mało co miejsc wolnych pozostało do nabycia. Zwolennicy kompozytora i obojętni z równą ciekawością spieszą na zajmujące w każdym razie widowisko, które gdzieindziej częściowo tylko i nie z taką wspaniałością a doбором środków pomocniczych powtórzyć się może. W Wiedniu już teraz przygotowują Walkiry, a razem Folkungerów Kretschmera i Złoty krzyż Brühla. Niema wątpliwości, iż trylogia Wagnerowska obiegnie całe Niemcy i da się słyszeć w głównych przynajmniej stolicach, bo ciekawość niezmiernie jest rozbudzoną. Mówiono, pisano, rozprawiano o tym tyle od lat kilku, iż każdy chciałby sam osądzić, czy dzieło wielkie jest zarazem arcydziełem. Pan Paweł Lindau tymczasem z nielitościwą surowością i dosyć dowcipnie wyszydza tekst Wagnera i jego alliteracje staroświeckie, które mogą być genialnie zastosowane, ale są wistocie niekiedy prawie śmieszne, tak się im oryginalnymi być chciało.

Przejażdżka po Kurlandyi, odbyta w r. 1873.

Skręślił Ścisław S.

I.

Wyjazd z Warszawy. — Białystok. — Niemen. — Grodno. — W ubogiej okolicy zamożny lud. — Landwarów. — Wilno. — Kościółek Ś-jej Anny. — Wilia. — Ponary. — Stacje kolei. — Dynaburg. — Most na Dźwinie. — Brzeg lewy rzeki. — Z przeszłości kraju który przebywam. — Nieco o okolicy. — Rys geograficzny Kurlandyi. — Schlossberg. — Iłuksza. — Łotysze. — Szlachta. — Prawa Kurlandyi.

Noc była pochmurna, ciemna, grożąca niepokojem, a że przyroda odwzorowywać się zwykła w usposobieniach ludzi, więc zebrani na dworcu kolei warszawsko-petersburskiej pasażerowie, między nimi i ja, w cichości zasiadłszy, dumali, marzyli, a nawet drzémali, poruszając się kiedy niekiedy z oznakami niezadowolenia, że pociąg jeszcze ich z tego stanu niepewności wyrwać nie chce. Wreszcie rozległ się głos dzwonka i wszyscy ruszyliśmy ku wagonom; dalej każdy rozłasował się w miejscu czasowego pobytu swego i układał manatki. Chwila jeszcze... i zamknięto nas, maszyna świsnęła—jedziemy.

Zająłem miejsce przy oknie i śledząc pilnie światła błyszczące w Warszawie, zęgnąłem ją szeptem „do zobaczenia,“ a uczucie jakie się we mnie objawiało, dawało mi poznać, że gdziekolwiek się przeniosę, pamięć, słowa i czyny moje zawsze będą miały na celu stary nasz gród, głowę kraju naszego. Jeszcze minuta, a zamiast błędnych światelek, widzę czarną tylko nocy osłonę.

Przy słabym oświetleniu wagonu trudno rozpoznać rysy twarzy spółtowarzyszów podróży; to też zobaczyłem tylko, że siedzi w nim jakaś kaszląca wiekowa dama, młody mężczyzna, ze stroju mieszczań, wreszcie obok mnie człowiek z dużym, czarnym okiem, ostrych rysów twarzy, ozdobioną sumiastym, szpakowatym wąsem, widocznie ziemianin, jak się zdawało z mowy, z głębokiej Litwy. Otóż ów jegomość mocno mię zainteresował, bo pierwszy to raz miałem przestąpić progi tej krainy, a że podróż kolejną zanadto szybko się odbywa, by samemu ze wszystkiego zdawać sobie sprawę, pragnąłem przeto znaleźć między otaczającymi obeznanego z miejscowością mentora, wszystkie zaś zewnętrzne cechy wskazywały, że znajdzie go w swoim sąsiedzie.

Zanim jednak przystąpiłem do zawiązania znajomości, potomek czciocieli Żnicza chrapanął, inni mu zawtórowali, a ja, skazany na towarzystwo

śpiących, z upragnieniem oczekiwałem dnia, żeby rozpocząć przegląd okolic, do którego przygotowałem się tym weselą, że chmury zniknąć zaczęły, ustępując miejsca gwiazdom i piękny dzień zapowiadając.

Śród myśli takich obil mi się o ucho głos konduktora, obwieszczającego że jesteśmy w Białymstoku i że aż 10 minut tu zostaniemy.

Zajrzałem w przeszłość tego miasteczka, leżącego nad rzeką Białą; ale niema w niej nic odznaczającego się, prócz znakomitego ożywienia, w jakie je chwilowo w końcu zeszłego wieku wprawiły odwiedziny możnych, w skutek których Warszawianie nazwali Białystok Wersalem podlaskim. Wraz z modą jednak znikło to sztuczne ożywienie i zapomniano nawet ową nazwę; teraz zaś Białystok nabiera stalszego rozgłosu przez istniejącą w pobliżkiej Choroszczy fabrykę sukna i kortów, do której podobna i w samym powstaje mieście.

Jedziemy dalej. Za Sokółką oglądam pierwsze blaski słońca, złocącego górzystą okolicę, i niecierpliwie oczekuję Niemna, mam bowiem słabość do wielkich rzek w ogóle. Roznoszą one życie w łono narodów nad ich brzegami osiadłych, zadowolają rozum i fantazją, które im ustami ekonomistów i poetów cześć zato noszą. Tutaj z Niemnem, oprócz owych przymiotów, łączą się jeszcze pełne tajemnic podania ludu, powiązane z krwawymi nad nim walkami krzyżowców z Litwą, które w tak czarowne szaty słowa odział nasz Adam, wołając rozżalony spustoszeniem, jakie wojna w tej pięknej sprawie krainie:

„O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Smierć i pożogę niosące szeregi,
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topór z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów;
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów.“

Powtarzając w duszy słowa poety, z niewymowną radością ujrzałem błękitne zwierciadło i wzniesiony na dwadzieścia zgórą stóp nad poziom wody, chciwie chwytalem widok brzegów rzeki.

A Niemen toczył spokojnie swój nurt potężny, nie zważając że przez barki jego przeciągnięto most kolei, że nad brzegami rozsiedli się niezbyt nadobni towarzysze, w postaci domów Grodna.

Grodno oderwało mię od Niemna: spojrzalem jak wygląda. Licho, niestety! brudno i cicho. Ludność jego, około 20,000 wynosząca, chodzi jakby śpiąca; niema ożywionego handlu, nie słychać stuków fabryk Tyzenhauzowskich, a z przeszłością tyle smutnych wiąże się wspomnień, że odbiegam od miasta, zapuszczam się w nurty Niemna i zwiędzając (ma się rozumieć myślą) jego nadbrzeżne wioski, siola i miasteczka, oglądam wreszcie niezrównanej piękności kowieńską dolinę. „Jest-to dolina najpiękniejsza w świecie“—powtarzam z poetą; słyszę śpiewy słowików, w licznie po niej rozsianych gajach, unoszę się nad cudnymi jej obrazami...

Z dumań budzi mię zagląające do wagonu słońce i przypomina rzeczywistość.

Jestem około stacyi Porzeczce. Okolica zda się bardzo biedna, ziemia nierówno pofalowana, miejscami kamienista, obfita w piaski, pokryta lichą trawą i rzadkim, niskim lasem... prawie nigdzie ani śladu ludzkiego mieszkania. Z ziemi przenosi się myśl na jej mieszkańców. Jakże muszą być biedni, pomyślałem, jak ciężkiej pracy wymaga ich kawałek chleba, skoro w tak ubogiej w dary natury żyją stronie.

Podczas tych moich myśli zatrzymujemy się na chwilę w Oranach i tu, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, widzę włościan z ogromnymi wiencami suszonych grzybów (przeznaczonych na sprzedaż), dobrze odzianych i których cała powierzchowność świadczy o zdrowiu i dobrobycie zupełnym. Co prawda, nie mogłem sobie wytłumaczyć na razie, jakim sposobem w ubogiej tej glebie może się tak zamożny lud znaleźć. Po rozwiązaniu tej zagadki udałem się do mojego sąsiada, domniemanego Litwina, czytającego od jakiegoś czasu ga-

zete. Nie zawiodłem się w oczekiwaniu, gdyż szanowny ów ziemianin, świadomy stosunków miejscowych, tak mi rzecz powyższą wyjaśnił:

— Jak pan widzisz, okolica tutejsza z natury ubogą jest we wszystko, co człowiekowi potrzebne, włościanie zaś dlatego tylko dobrze się mają, że ludność jest nadzwyczajnie mała, wsie bardzo rzadkie, a nadto są to wszystko dobra rządowe; włościanie przeto, wolni dawniej od wszelkich powinności, mają w dodatku prawo pasania po owych rzadkich lasach, koszą na łąkach leśnych siano, a przytém chowają wiele bydła, stanowiącego podstawę ich bytu, wraz z ogrodowiznami i grzybami, w które na szczęście ta strona obfituje, a które suszone rochodzą się ztąd do Druskiennik, Warszawy, Petersburga, a nawet do Prus. Te źródła ich dochodu są bardzo obfite, mianowicie grzyby, na zbiór których, skoro się tylko pojawią, całe wioski biegną w gaje, porzucając sianokos i gospodarke, bo grzybobranie, oprócz zysku, daje im uciechę i rozrywkę w pracy, a to błędzenie po zaroślach ze śpiewem i gwarem nastrocza sposobność użycia dowolnie swobody, za którą tak przepadają mieszkańcy wsi.

Uważałbym sobie za występki wielki pominięcie milezieniem druskiennickich zdrojowisk; ponieważ jednak tam nie byłem, krótką tylko o nich zrobię wzmiankę.

Nazwa sama Druskiennik pochodzi od wyrazu litewskiego druska (sól), charakteryzującego już przymiot wody (1). Leżą one nad samym Niemnem, na prawym brzegu, przy ujściu Rotniczanki, w uroczym położeniu na stoku góry. Woda tutejsza, należąca do rzędu solanek (2), różni się co do swego składu w każdym ze źródeł. Wiadomość o leczniczych jej własnościach długo była tajemnicą rodziny włościan Surowców, na gruntach których się źródła znajdowały; dopiero Chreptowicz, administrator starostwa przewalskiego, sprawdziwszy krążące wieści o uzdrawiających przymiotach źródeł, w końcu zeszłego jeszcze wieku zaczął zwracać na nie uwagę tak szerszego koła publiki, jak i władz odnośnych. Od owej daty zaczyna się stopniowy, acz nader powolny rozwój Druskiennik, które teraz posiadają już liczne, wygodne domy na pomieszkania, łaźnienny dom do kąpiel i piękne przechadzki dla gości.

Pociąg mknie dalej, żelazna pierś jego nie męczy się silnym parciem powietrza i już jesteśmy w Landwarowie, zkad gałąz kolei idzie do Kowna i Prus. Od tego miejsca zmienia się krajobraz, okolica staje się więcej górzystą, więcej zaludnioną, w polach też piękniejsze widać oziminy, a ładne widoki każą się uważać za wstęp do tego, co wkrótce uradować ma oko podróżnika. Wpadamy wreszcie w tunel ponarski, a po krótkim pobycie w ciemności i po strasznym łoskocie, z tém większą rozkoszą witamy słońce. Pociąg zwolnił biegu i oto nagle na lewo wagonu ujrzałem Wilno.

Cudnyż to oczom moim przedstawiał się widok! W kotlinie przedemną rozpostarło się miasto ze strzelającymi w górę wieżami kościołów, błyszczącymi od promieni słonecznych, z czerwonymi dachy owitemi miejscami zieloną szatą drzew. Obraz ten ożywiały snujące się po ulicach liczne grona ludzi, bo była to niedziela, a za tło służyła mu wyniosłość, na której stoi cytadela, z ruiną górnego zamku i ślicznymi bukietami krzewów umajona Trzykrzyżka góra, topiąca się w lazurówym niebie.

Nieoceniony towarzysz mój podróży zwrócił moją uwagę na szarą barwę kościołka świętej Anny i skoro tylko pociąg się zatrzymał, zalecił zobaczyć go zblizka. Biegnę przeto do owego arcydzieła budownictwa gotyckiego, z trudnością przeciskam się przez modlących się przed Ostrą Bramą pobożnych, mijam cisnący się do kościołów lud i wreszcie jestem u celu mój wycieczki. Kościołek św. Anny jest niewielki; całość budowy

jego nadzwyczaj harmonijna, w każdym bowiem łuku i jego zagięciu znać prawidłowość kształtów i form, stanowiącą prawdziwe piękno. Objawszy tedy w szczegółach zewnętrzne formy kościołka, wbiegłem do środka, i czy uwierzycie, uciekłem z niego, bo tu trzy skromne ołtarzyki i gładkie ściany nie przedstawiają nic, ale to nic godnego zanotowania. Rozczarowany, przypomniałem sobie kolej żelazną i śpiesząc ku niej, odwzorowałem w myśli piękne tej świątyni formy, wspominając zarazem jej twórcę. Wedle Narbutta, budował piękny ten przybytek Jan Juhrbach, mistrz mularski z Malborga, z polecenia Anny żony Witolda, a skończyć go miał w roku 1392.

Z tém historycznym wspomnieniem zaledwie zdążyłem do kolei, siadłem do wagonu i podziękowawszy swojemu mentorowi za zachęte do obejrzenia św. Anny, mknę dalej między uroczymi górami, szukając ciekawie, czy nie zechcą mi odsłonić choć rąbka małego Rosi. I otóż rozstępują się one, i jakby drażniąc się ze mną, ukazują ukradkiem śliczne rzeki oblicze. Płynęła wartko, jak gdyby zalotnie, tak świeżo i pięknie toń jej wyglądała przy otoczeniu łąk i zielonych klombów, a wila się tak zręcznie między górami, jak w tańcu dziewica. Niestety, już jej niema, skryła się przed naszymi oczami.

W tej chwili ukazują się góry prawie nagie; pośród nich, jak zawsze w kraju górzystym, piękne wąwozy, malownicze doliny, w których jednak mało mieszkań, bo nierozważny człowiek zbyt przetrzebił lasy i łyse góry smutno po zdjęciu naturalnego ich stroju wyglądają. Słońce wypala teraz na nich wszelką roślinność i kozie trudno się tam pożywić, gdzie liczne stada dawniej się pasaly. Wiosenne roztopy swobodnie wyrzynają w bokach gór szczeliny i nieurodzajną ziemią zavalają łąki i pola nizin, a klimat przytém staje się coraz surowszym. Odwracam się od tego smutnego widoku i rozpatruję ściśle mą drogę. Na niej pierwszą stacyą od Wilna były Bezdany, unieśmiertelnione w wierszach Sarbiewskiego, a dalej malowniczo położone Podbrodzie. Teraz mijam miasteczko powiatowe Święciany, rzucam okiem na Ignalino; w Dukaszach staje mi na myśli byłymieszkaniect tutejszego klasztoru, ksiądz jezuita Baka. Krajobraz staje się mniej zajmującym, to też niecierpliwie się, żem jeszcze u celu swój podróży, w Kurlandyi, bo miałem dla tej ziemi korzystne uprzedzenia i rad byłem sprawdzić je na miejscu. Wreszcie za Nowo-Aleksandrowskiem wjeżdżam na ziemię kurlandzką, ale na bardzo krótko, wąską bowiem szyję jej kolej przebiega omal bez wychnienia, przystaje tylko chwilę na stacyi Kalkuni, przechodząc blisko zabudowań gospodarskich folwarku, mającego ogromną parową gorzelnię. Pędzimy dalej koło fortu zbudowanego na lewej stronie Dźwiny, nazwanego powszechnie Kurische Festung (twierdzą kurlandzką), i po żelaznym moście przebywszy Dźwinę, przesuwamy się w okopach twierdzy Dynaburga.

Nie lubię fortec i dla Dynaburga źle jestem usposobiony, choć powierzchownie dość ładnie wygląda. Schował swe mury i paszcze armat za aleje topolowe, z pośród których wystrzelają piękne wieże niegdyś kościoła jezuitckiego, dziś cerkwi prawosławnej. Ale już niema twierdzy, pozostała na lewo odemnie; na prawo zaś rozściela się miasto. Mijamy je i na pozór już się z niem rozłączamy. W polu jednak szczerem pociąg staje, cofa się wtył, zaginając na prawo, i po kilku minutach jestem przed dworcem kolei, ciasnym i niewygodnym, który nie wiem dlaczego zbudowano w tak niekorzystnym miejscu, chyba dla przyjemności pokazania światu, że i w raka nawet pociąg bawić się potrafi.

Tu rozstaję się z koleją i z moim towarzyszem podróży, siadam na brykę i po przejechaniu pół wiorsty drogi, minawszy foksal kolei rygsko-dynaburskiej, wjeżdżam do miasta Dynaburga.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(1) „O wodzie mineralnej druskiennickiej“, przez Ant. Hryniewicza, Wilno 1842 r.

(2) „Opisanie wody druskiennickiej“, Wilno 1838 r. przez prof. chemii przy b. uniw. wil. Ignacego Fonberga, mieści w sobie rozbiór chemiczny, z wymienieniem ilości części składowych dwóch źródeł druskiennickich.

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Opozycja w Rzymie za cesarów.

(Opozycja możnych.)

Przez Gastona Boissier.

(Dokończenie).

Wielu innych poszło za jego przykładem i nie bawem tak to weszło w modę, że w Rzymie, w miesiącach kwietniu i sierpniu, nie prawie nie robiono, tylko zbierano się w salach odczytów.

Latwo sobie wyobrazić z jakim usposobieniem zbierano się na te uroczystości literackie. Zarówno słuchacze jak i prelegenci należeli zazwyczaj do lepszego towarzystwa i dlatego też podzielali wszystkie sympaty i niechęci wielkiego świata. Można więc przypuścić, że wogólności opozycja panowała na odczytach publicznych. Tam-to mówiono, jeśli można było mówić. Tam słyszano Titinius Capito'na, po śmierci Domicyana czytającego historią jego ofiar. Uważano sobie za obowiązek chodzić na odczyty. „Zdawało się — mówi Plinius — że się jest na mowie pogrzebowej tych nieszczęśliwych, których nie można było uciec pogrzebem.“ Pod złymi cesarzami zachowywano się naturalnie ostrożniej, a jednak znajdowano sposoby objawienia swoich myśli. Za najstraszniejszych chwil panowania Nerona, poeta Curatius Maternus miał odwagę czytać tragedię pełną ostrych aluzji do cesarza. Za Wespazjana prowadził on dalej podjazdową wojnę epigramami. Pewnego dnia czytał *Katona* i „zapominał o sobie — mówi Tacyt — myśląc jedynie o swoim bohaterze.“ Nie brakło zapewne oklasków zuchwałym tyradom poety: nazajutrz cały Rzym o niczym nie mówił, tylko o jego śmiałości i o niebezpieczeństwach, na jakie go śmiałość ta mogła narażić.

Tragedye Kuracyusza Materna zaginęły; ale mamy tragedye Seneki, które mogą nam dać wyobrażenie o tym, co pozwalano sobie mówić w salach odczytów. Są-to zapewne utwory mierne i można je sądzić bardzo surowo, jako utwory sceniczne zwłaszcza, w porównaniu ze sztukami Sofoklesa i Eurypidesa. Ale trzeba pamiętać o tym, że one nie były pisane dla sceny i że autor przeznaczał je tylko na odczyty publiczne. Jest-to tragedia salonowa, której nie należy traktować na równi z tragedią sceniczną. Rodzaj ten może się wydawać fałszywym i złym, wolno go potępić surowo; lecz bądź co bądź, rodzaj to osobny, niepodlegający tym samym prawdom co tamten, mający odrębną publiczność i zmuszony niekiedy popełniać pewne błędy, żeby jej się podobać. Seneka, któremu wiele zależało na powodzeniu, chętnie godził się na te błędy. O nic mu bardziej nie chodzi jak o to, żeby trafić w gust słuchaczy. Wię on, że ich nie zainteresuje inaczej, jak tylko mówiąc o ich czasach i o nich samych; to też robi to otwarcie, bez skrupułu; możnaby powiedzieć, wnosząc ze sposobu w jaki się czasami wyraża, że pragnął ich uprzedzić, iż teraźniejszość więcej go zajmuje niż przeszłość i że ma zawsze na myśli Rzym, ilekroć mówi o Argos albo o Tebach. Dlatego to tak często napotykamy u niego aluzye polityczne.

Miano sposób wtrącania ich w utwory tego rodzaju, nie budząc zbyt mocno podejrzeń władzy. Między postaciami stariej tragedji rzymskiej pojawiała się jedna, której nie oszczędzali zwykle dramatyczni pisarze: tą postacią był tyran, przewstawiany zawsze jako niesprawiedliwy, gwałtowny, rozkazujący poddanym swoim głosem groźnym. Przeznaczeniem jego było być nienawidzonym, jak zdrajca w naszej melodramie. Gdy go ujrano nadętym dumą, gdy go usłyszano deklamującego nastrzępione frazesy, z głową zadartą, cała ludność republikańska czuła się szczęśliwą, że nie żyje pod panowaniem króla. Tyrana tego

zatrzymano w tragedji z czasów cesarstwa i autorowie nie przestawali wyprowadzać go na scenę: była-to tradycja. Cesarze, ściśle mówiąc, mogli nie brać do siebie głupstw które tyranowi gadano, skoro ogólnie przyjętą była zasada, że „cesarstwo a tyrania, to dwie rzeczy zupełnie różne.“ Ale zdawałoby się że Seneka nie chce aby się mylono pod tym względem. Stara on się sam objaśnić, że kiedy uderza w tę śmieszna postać tragedji, ciosy jego sięgają wyżej. Jedną z zasad, które najchętniej kładzie w jej usta, jest następująca: „Tylko słabi królowie zabijają odrazu; w mojem królestwie śmierć jest łaską, o którą błagać należy. Ten kto zabija zaprawdę, nie umie być tyranem.“ Byłyto własne wyrazy Tyberyusza, który jednej z ofiar swoich, prosząc go o śmierć, odpowiedział: „A cóż to, czyśmy się pogodzili ze sobą?“ Widziemy że tutaj tyran wprowadza na myśl cesarza, a uważając bacznie, tak samo rzecz się miała wszędzie. Nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, żeby zrozumieć do kogo stosowała się ta szlachetna rada: „Wstrzymajcie się od rozlewu krwi, wy którzy trony zajmujecie!“ Kilka ustępów z tych tragedji wydaje się nawet aluzjami, wymierzonymi wprost do osobistego położenia Seneki i do tej okoliczności, że nadaremnie usiłował ucznia swojego na dobrą zwrócić drogę. „Wiem ja, — powiada — jak niemiła jest prawda dumnym uszom królów, wiem że pycha ich nie może ścierpieć, aby ich napominano do cnoty.“ Zresztą zdaje się wyrażać żal z powodu tych niechwalebnych ustępstw, które musiał poczynić Neronowi, podczas gdy był jego ministrem, a któremi uczciwi ludzie tak zostali zasmuceni: „Gdy się zostaje w zależności — powiada — trzeba się wyrzec wszelkiej sprawiedliwości, wyrugować z serca wszelkie uczciwe uczucia: kto zachowa jakiegokolwiek poczucie honoru, źle służy innym.“ W takito sposób zasady i myśli, najogólniejsze na pozór, nabiierają znaczenia szczegółowego i życia, kiedy się je objaśni historią Seneki. To zamiłowanie skromnego stanowiska, które on nadaje niektórym postaciom swoich tragedji, tę trwożę przed wielkościami, ten żal z powodu zbyt licznych ustępstw dla powabów fortuny i władzy, wszystko to czuł on sam, od czasu jak popadł w niełaskę. On to mówi te wyrazy, które kładzie w usta Thyesta: „Wierzcie mi, pomyślność ludzi nas tylko zwodzicami pozorami, a niepotrzebnie obawiamy się niepowodzenia. Dopóki byłem potężnym, drżałem bez ustanku. Dzisiaj szczęśliwym jestem, że nie wzbudzam w nikim ani zazdrości, ani obawy. Zbrodnia nie chodzi szukać ubogiego w jego chacie. Człowiek spożywa tam bezpiecznie pokarmy na skromnym zastawionym stole, podczas gdy pijąc ze złotych pułarów, narażony jest na wypicie trucizny. Mówię wam to, gdyż sam tego na sobie doświadczyłem.“ — Utrzymują że rzeczywiście sam tego doświadczył na sobie: Neron chciał go otruć przez jednego ze swoich wyzwolenców, i tylko skromny sposób życia go ocalił. Odtąd, dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa, żył jedynie dzikimi owocami, a pragnienie gasił wodą bieżącą.

Szczególny interes nadaje tragedjom jego to, że trwoży się nie o siebie tylko samego i że zajmuje się drugimi, tak samo jak sobą. Poczucie niebezpieczeństwa, jakie mu zagraża, zwraca myśl jego ku towarzyszom niedoli; usiłuje dodać im otuchy, pokrzepić ich na duchu. Przypomina im, że „kto jest silny duchem, nie może być nieszczęśliwym.“ Czyż zresztą nie mają pewnego środka przeciw temu ciężkiemu uciskowi? „Každy — powiada im — może nam wydrzeć życie, ale nikt nie może nam wydrzeć śmierci. Ten kto umie umrzeć, nie będzie nigdy niewolnikiem.“ Pociesza ich jeszcze, wykazując że jakkolwiek położenie poddanych wydaje się smutnym, mniej smutnym

jest ono jednak od położenia ich pana. „On nie może się ukryć przed oczyma wszystkich, zwróconymi na niego. Dom jego jest przezroczystry i ukazuje jawnie wszystkie jego wady.“ Nie ma on przyjaciół i nie może liczyć na niczyje poświęcenie: „Wierność nie wstępuje nigdy na próg pałaców.“ Zna on niebezpieczeństwa które mu grożą i pędzi żywot w ciągłej trwodze. „Kto rządzi berłem żelaznym, drży przed tymi, którzy drżą przed nim: strach wraca do tego, kto nim przejmie.“ A tym człowiekiem, który sam doznaje trwoży, jakiejś nabawia, nie kto inny jest, tylko cesarz; niepodobna o tym wątpić, przeczytawszy wiérse następujące: „Ten który szafuje koronami według woli, przed którym drżą ce narody zginają kolana, który jednym skinieniem głowy rozbraja Meda, Indyanina i Daków, nie jest wolen od niepokojów na swoim tronie; drży, myśląc o kaprysach fortuny i o nieprzewidzianych ciosach losu, które obalają państwa.“ Wskazawszy go tak wyraźnie swojej publiczności, pozwala sobie powiedzieć mu: „Ty więc, któremu pan łądów i mórz poruczył straszne prawo życia i śmierci nad wszystkimi ludźmi, porzuć tę minę pyszną i zarozumiałą. Losu, którym grozisz swoim poddanym, ty sam doświadczyć możesz; chociaż pan innych, masz nad sobą pana tam w górze który rozporządza tobą.“ Władzę najwyższą kruchą i niepewną czyni to, że władca Rzymu jest pewnym iż go nienawidzą. „Jakże on oprzeć się zdoła wszystkim tym gniewom które wznieca? Musi uleść lada dzień, zwłaszcza jeśli się ludzi co do swojej potęgi.“ Poeta przepowiada mu ten upadek nieuchronny, i nie tylko przepowiada, ale pragnie go, przyzywa; uzbiera, o ile może, ramię malkontentów i usprawiedliwia cios sztyletu, który uwolni Rzym i świat od złego pana. Takie to rzeczy mówiono i obsypywano oklaskami w salach odczytów, rzeczy które powtarzali i objaśniali nieprzyjaciele cesarza, które nazajutrz stawały się przedmiotem rozmowy w całym Rzymie. Z trudnością zaprawdę przyszłoby nam pojąć, jak śmiano mówić tak swobodnie za Nerona, gdybyśmy nie wiedzieli jak dalece rząd jego był niepewny i niezdecydowany, już to tolerujący, już nieubłagany, pozwalający robić tutaj to, czego owdzie zabraniał i karzący w jednych to, co cierpiał w drugich.

Ale zwykle, żeby się tak bardzo nie narażać, mówiono ciszej. Tylko śmiałowicie wypowiadali myśl swoją publicznie; inni zwierzali się kilku za ledwo przyjaciółom. Na pozór zdaje się niepodobnym, aby mogło dojść do nas cokolwiek z tych zwierzeń poufnych. A jednak nie są one dla nas stracone zupełnie i nieraz przechowali nam je historycy. Zebrali oni je z ust współczesnych i dali im poczesne miejsce w swoich opowieściach. Tacyt, Swetoniusz, Dion nawet są ich pełni. Ztąd-to pochodzą te sprzeczne wieści, wśród których z taką trudnością przychodzi im własne wyrzec zdanie, te złośliwe komentarze do wszystkich czynów panującego, te wiadomości nieprawdopodobne, te dziwne zarzuty, które oni przytaczają, odpiérając je następnie. Przekazali nam więc coś z tej opozycji lekliwej, która kryła się w cieniu, która półsłówkami tylko mówiła i którą, czytając ich, poznać i ocenić możemy.

Przedewszystkiemu uderza w niej to, że im była skrytsza, tém bardziej nieubłagana. Nic nie mogło ujść przed nienawiścią tych ludzi, tém zuchwalszych potajemnie, im bardziej musieli się powściągać publicznie. Oni nigdy z niczego nie byli zadowoleni. Nieraz rzucali się zajądło na najlepsze rozporządzenia, których doniosłości zrozumieć nie chcieli. Wszystko służyło im za pozór do złego humoru. Tyberyusz, w pierwszych latach swego panowania, nie mógł zrobić nic, czego by na złe nie wytłumaczono: ganiono go za to,

że pozostał w Rzymie, podczas gdy się legiony zbuntowały w Germanii, a nie ulega wątpliwości, iż ganiłoby go jeszcze bardziej, gdyby był Rzym opuścił. Za złe mu miano, że nie lubił patrzeć na walki gladiatorów: ta nienawiść do igrzysk ludowych czyż nie była dowodem umysłu ponurego i stetryczającego? Ale jednocześnie nie przebaczone synowi jego Druzusowi, że zanadto był w nich rozmiłowany. Oskarżano go o próżność nienasyconą, gdy przyjmował zaszczyty, które mu ofiarowano, a nazywano go dumnym, gdy je odrzucał. Kiedy nie pozwolił aby mu wzniesiono świątynię w Hiszpanii i boskości swój nie chciał brać na seryo, czém dowiódł rozumu, za który mu się należy uznanie od potomności, utrzymywano że to dowód duszy popolitej. „Wielec ludzi—mówiono—do wielkich nagród wzdychają, a kto gardzi chwałą, ten gardzi także i cnotą.“ Po jednym z wylewów Tybru, który spustoszył wszystkie niżej położone dzielnice Rzymu, powzięto myśl zapobieżenia powtórzeniu się tej klęski, nadając inny odpływ jeziorom i strumieniom zasilającym rzekę. Znaleźli się ludzie, którzy się żalili na to. Powiadali że „natura mądrze obmyśliła wszystko w interesie człowieka i że zbrodnia jest chcieć się jej sprzeciwić, lub ją poprawiać i zapędzić się nawet tak daleko, że twierdzili, iż „ubliżonoby Tybrowi, gdyby zmniejszono masę jego wód i że gniewałby się, gdyby go zmuszono płynąć z mniejszą pompą (Tacyt, Ann. 1, 79). Szczególne zaprawę argumenta, chociaż mieszkańcy Velabru z pewnością tego byli zdania, że więcej warta ochrona ich domów, niż troskliwość o chwałę Tybru; ale cóż, kiedy trzeba było czepiać się wszystkiego i we wszystkim znaleźć jakiś powód do żalów. Było to jedyną myślą większej części tych malkontentów wyższego świata.

Sztuka włoska w epoce odrodzenia, przez M. Carrière'a.

A. Szkoły florencka, padewska, wenecka i umbryjska.

Włochy pierwsze dały hasło do zbudzenia ducha ludzkiego z tego uspienia, w jakim zostawał podczas nocy wieków średnich.

Zawiązawszy nanowo komunikacją duchową ze światem starożytnym, podjęła ludzkość w dalszym ciągu pracę nad urzeczywistnieniem ideału piękna i prawdy, przerwana tak długo przez inne zabiegi i nieprzyjazne okoliczności. Rzecz naturalna iż naród włoski, jako bezpośredni następca starożytnych Rzymian i najbliższy dziedzic tradycji świata klasycznego, najpierw też skorzystał z odnalezionych skarbów, dla zasilenia niemi swego umysłu i rozbudzenia fantazyi artystycznej. Rozkwit literatury uprzedził odrodzenie się sztuki; Dante, Petrarca, Boccaccio dostarczyli pokarmu dla umysłu i fantazyi artystów. Tradycyjnie przekazywane typy nie zadowalały już malarzów i rzeźbiarzy, którzy nauczywszy się samoistnie myśleć, zaczęli i samoistnie patrzeć na rzeczy. Pragnęli oni w swych dziełach wyrazić własne poglądy i uczucia, nadać każdej przedstawionej postaci rysy, postawę i ubiór, odpowiedni do chwilowej sytuacji. Nauczywszy się dopatrywać w zmysłowych zjawiskach całej piękności przyrody, pragnęli odzwierciedlać ziemskie rzeczy, z ich niezliczonymi powabami. Chociaż więc nie przedstawano trzymać się wyłącznie religijnych przedmiotów, jednakże nadawano im w przedstawieniu zamiast tradycyjnego, kościelnego, świeckie całkiem przybranie. Artysta nie starał się jedynie o to, aby jego utwór wzbudzał religijne i pobożne uczucia; nie chciał on ani wznosić się ponad ziemię, ani boskość odtwarzać w formach zmysłowych, ale tylko nadać swym postaciom życie indywidualne i zupełną, przedmiotową rzeczywistość. Madonna przestała teraz być królową niebios, nosicielką „słowa które się stało ciałem,“ lecz przed-

stawia się nam jako kochająca matka, zajęta swém dziecięciem, z czysto ludzką troskliwością i radością. Dziecię to bawi się w czysto ludzki sposób, to z matką, to ze swym towarzyszem Janem, skutkiem czego cała grupa tworzy idealny obraz życia i szczęścia domowego rodziny florenckiej, jak to wnosić pozwala krój ubioru Madonny. Odkąd pod wpływem humanizmu zaczęto widzieć ideał człowieka w harmonii zdrowego umysłu ze zdrowym ciałem, odkąd ta harmonia zmysłowości z duchowością urzeczywistniała się coraz częściej wśród mężczyzn i kobiet pod wpływem humanitarnego wykształcenia, artyści coraz więcej spotykali postaci, nadających się za modele świętych lub dostarczających wzorów do ówch chórów świętych, doktorów, proroków biorących udział w akcji, a tym sposobem fakt biblijny przybierał charakter społeczny. Tło obrazu przytém bywało starannie wykończone i zapełnione przez krajobraz lub architektoniczną dekoracją. Czasami wprawdzie spotykamy mitologiczne lub historyczne przedmioty i formy, wskazujące na studia antyków, w ogólności jednak cechą włoskiej sztuki jest zrosnięty z tą klasyczną ziemią zapal dla piękna i owo jasne, pełne życia na świat spojrzenie, chwytające wszystko co piękne i wydatne w formie przedmiotów. Na tej drodze wytworzony został nowy, samoistny ideał, niebędący ani naśladowaniem, ani odtworzeniem dawnych typów. Ogólna atmosfera starożytności i doskonałość jasniejsza w pojedynczych jej utworach, wywiera swój wpływ nie przez to, by służyła za pierwotny wzór, lecz jako wskazówka sposobu pojmowania i odtwarzania natury. Nagie postacie, pełne młodzieńczej energii i powabnych kształtów, nie były kopiowane z antyków, lecz za ich wzorem tworzone nanowo przez malarzów; samodzielna myśl dążyła do energicznego indywidualizowania; nawyknięcie do urzeczywistniania swych pomysłów na szerokiej przestrzeni przy malowidłach freskowych, wytwarzało styl monumentalny, wolny od drobnozgowości i ciasnoty. Miłość natury i dążenie do naturalności ożywiało artystów; antyki uczyły ich odnajdywać piękno i wielkość w rzeczywistości i uszlachetniać życie przez sztukę.

Florenca, która w polityce i literaturze, tak samo jak w zamożności i cywilizacji, przodowała Włochom, która dla architektury nowe utarowała drogi, zajęła równie zaszczytne stanowisko w dziejach malarstwa i rzeźby. Pierwsze usiłowania do wydobywania się z tradycyjnej martwoty form łączą się z imionami Pawła Ucello i Jakuba della Quercia. Po nich zajaśniał Masaccio (1401—44), który dokończywszy fresków rozpoczętych przez swego nauczyciela (Masolina) w kościele Santa Maria del Carmine, a przedstawiających życie Ś-go Piotra i nowym już techną duchem, wystąpił z całym szeregiem arcydzieł, imponujących energią wykonania. Utwory te służyły za wzór następnym pokoleniom, a między innymi Michałowi Aniołowi. Rafael również zostawał pod wpływem tych dzieł, przedstawiając Adama i Ewę wygnanych z raju, w swoich Łozach; tu także studyował on sposób odtwarzania przedmiotów szpetnych i wstrętnych, czego dowodem: „Uleczenie kulawego.“

Fra Filippo Lippi rywalizował z Masacciem. Życie jego, upstrzone licznymi awanturami i miłośnymi przygodami, zakrawa na fantastyczną nowelę, choć same utwory stwierdzają, iż artysta ten z klasztornej samotności zwrócił swe serce ku uciesze światowemu. Świadczą o tём zarówno prace znajdujące się w katedrach Spoletu i Prato, jak pełne wdzięku i wesołości sceny rodzinne, w jakich przedstawił życie Świętej rodziny. Zarówno szal tańczącej Herodyady, jak i smutek towarzyszyów ukamienowanego apostoła Stefana, udało mu się szczęśliwie odtworzyć. Niezawsze jednak umiał zjednoczyć harmonijnie rzeczy niebiańskie z ziemskimi; te ostatnie w filuterny sposób odciągają oko widza od pierwszych.

W zakresie plastyki znakomity Lorenzo Ghiberti (1378—1455) był niedorównanym mistrzem tej epoki. Ponieważ we Włoszech nie weszło w u-

życie sycerstwo posilkujące się farbami (*), a białe marmur i ciemny spiż nie przyjmowały barw, przeto wszystko polegało na samej formie i to nadało włoskim rzeźbiarzom niezmierną wyższość. Architektura ówczesna dla fryzów i nisz potrzebowała pomocy plastyki i przywołała do życia starożytną ornamentykę. Dwie statuy tego mistrza, śgo Jana i śgo Stefana, wskazują postęp od szorstkiej siły w charakterystyce, do swobodnej piękności, polegającej na równowadze między duszą a uwydatniającą ją ciałem. Zadanie bowiem sztuki na tём polega, by zewnętrzną formę kształtowała odpowiednio do wewnętrznej treści i wypowiedziała tę treść w jaknajdobitniejszy sposób. Do tego ideału zbliżył się już wielce Andrea Pisano, w płaskorzeźbach na miedzianych drzwiach baptisterium florenckiego. Ghiberti poszedł jego śladami. W dwudziestu wypukłorzeźbach północnego portalu, przedstawiających sceny z życia Chrystusa, widzimy, obok właściwej starożytnej sztuce wyrazistości w odtworzeniu moralnego znaczenia przedmiotu i wypowiedzenia skromnymi środkami bogatej treści, jeszcze całą pełnię rzeczywistego życia, wrzącego w bogatym ugrupowaniu postaci. Sceny te trzymane są ściśle w granicach właściwego stylu, choć przytém więcej się zbliżają do rzymskich, niż do greckich wzorów. Oprócz tego Ghiberti w dziesięciu wielkich polach tegoż portalu usiłował współubiegać się ze współczesnym malarstwem, przedstawiając sceny ze starego testamentu, w których obok mnóstwa ludzkich postaci, odtworzył w spiżu nie tylko perspektywiczne zagłębienie, lecz krajobrazową dal i warstwy obłoków; jakkolwiek więc te w spiżu odlane malowidła przekroczyły granicę plastyki, jednak urok piękności w nich rozlany jest tak wielki, że niktby nie śmiał twórcy robić z tego zarzutu. Prześliczne również są arabeski otaczające dokoła powyższe obrazy; są to wijące się rośliny z liściem i kwiatem, pełne gracyi i prawdy naturalnej, tudzież ludzkie postacie, wybornie uchwycone i z wdziękiem wykonane. W utworze tym łączy się w najszczęśliwszą całość właściwa dziełom stylu gotyckiego falistość linii tak nagiego ciała jak i szat, głębia uczucia w geście i wyrazie twarzy z motywami antyku, z wiernym odtworzeniem natury i delikatnym modelowaniem, tak iż spotykamy tu już zapowiedź Rafaelowskiego wdzięku i powtórzyć możemy za Michałem Aniołem, że odrzvia te godne są stanowić wejście do raju.

W inny znowu sposób wprowadza Łukasz della Robbia żywioł malarski w zakres plastyki. Ozdobiwszy balustradę chóru katedralnego fryzem przedstawiającym śpiwającego anioła z białego marmuru, w którym odtworzył wszystkie powaby naiwnego dzieciństwa i powabnej młodzieńczości, zwrócił się do terrakoty i wykonywał statuy, a przeważnie płaskorzeźby z palonej glazurowanej gliny. Na szklisto-błękitnawym tle wydatnieją białe figury, noszące słaby odcień barw, których blask zlekka przypomina życie, lecz go nie naśladowuje. Przez to zbliża się della Robbia, więcej niż którykolwiek ze współczesnych, do prostoty greckiej sztuki, choć przytém tworzy jego techną religijnym namaszczeniem, głębokim uczuciem i ciepłem życiowym. Dziełami swojemi (Madonny, anioły, święci) ozdabiał wnętrza i zewnętrzne ściany (fryzy i lunety) współcześnie wznoszonych świątyni i gmachów; dostarczył również w wielkiej liczbie posągów świętych dla domowych ołtarzyków. Synowcy i wnukowie mistrza pozostali wierni charakterowi jaki on nadawał swym utworom, tak iż to dziedziczne uzdolnienie długo i wszechwładnie panowało w pracowni Łukasza.

W przeciwieństwie do idealistycznej słodyczy della Robbia, stoi szorstka surowość form i chropawy naturalizm Donatella (1383—1468), niezłagodzony studiami nad antykiem. Staranie o charakterystykę ludzkiej postaci posuwane tu bywa do tego stopnia, iż u śgo Jana widzimy same tylko kości, mięśnie i żyły, a w konnej postaci wodza

(*) Przykładem takiego sycerstwa są dzieła Wita Stwosza i niemieckich mistrzów społecznych.
(Przyp. tłum.)

Gattamelaty toż samo życie wre w jeźdźcu, co i w rumaku, złączonych w jednolitą całość.

Andrzej Verachio, Andrzej Castagno, Landro Boticelli, Filippino Lippi rozwijali dalej nowy kierunek malarstwa, które w szkole florenckiej znalazło dwóch świetnych przedstawicieli Łukasza Signorelli i Dominika Ghirlandajo. Obaj stoją na progu skończonego mistrzostwa. Ostatni odtwarza w idealnym świetle społeczne życie Florency w jego najpiękniejszym rozkwicie, czyto w epizodach z biografii świętego Franciszka z Asyżu, czy w dziewczętach pozdrawiających Maryję zaraz po jej urodzeniu. Te postacie, portretowane ze społecznych typów, skrócone są w tak podniosłym stylu, łączą z prawdą realną tyle godności i świętości, że nie tylko nie dostrzegamy tu żadnej sprzeczności, żadnego anachronizmu, ale treść z formą zlewa się w jeden dźwięczny akord.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Instynkt i inteligencja zwierząt, przez M. N. Joly.

(Dalszy ciąg).

Musiemy w tym miejscu nadmienić, że między fizyologami francuzkami objawia się obecnie wyraźna dążność ku sprowadzeniu do rzędu czynności odbitych nie tylko tych czynów które zależą od instynktu (co w wielu wypadkach może być słusznym), ale nawet czynów inteligencji, w najwyższym jej pojęciu, jak na przykład działania woli, wolnego wyboru i t. d.

Są to, że nie powiemy ostrzej—teorie przedczesne, wyznawane przez pp. Taine, Luys, Onimus, Durand de Gros, a którym to teoryom nawet taki Claude Bernard używa powagi swego imienia i wiedzy.

Claude Bernard mówi:

„Doświadczenia fizyologiczne przekonywają, że inteligencja nie ześrodkowuje się w samym tylko organie mózgowym; przeciwnie, istnieje ona, w różnych stopniach, w mnóstwie centrów nerwowych, działających bezwiednie, uszykowanych wzdłuż osi mózgowo-kręgową i mogących działać niezależnie od siebie, lubo podległych hierarchicznie jedne drugim.

„Tym sposobem każda czynność organizmu posiada odrębne centrum nerwowo-kręgowę, istny mózg niższego rzędu, odpowiadający zawiloscią swą budowy zawilosci samąże funkcji. U zwierząt niższych te centra bezwiedne same tylko składają całość systemu nerwowego.“

Pan Durand de Gros, w dziele swém o fizyologii filozoficznej, zaprzecza Bernardowi ojcostwa tej teorii, mieniając ją „dzieckiem swego żywota“ i dodając w témże dziele wyjaśnienia następujące:

„Mózg zwierząt kręgowych i człowieka, jest to rozwinięcie masy nerwowej, istniejącej w głowie zwierząt bezkręgowych, a mlęcz pacierzowy jest to zmodyfikowany splot nerwowy podbrzusny tychże zwierząt.

„Mlęcz pacierzowy, tak samo jak równoważny mu splot podbrzusny, jest siedliskiem sił ruchu niezależnych.

„U zwierząt kręgowych te siły niezależne są to dusze; czemuż są u istot bezkręgowych? Zaiste, także duszami... jest to następstwo logiczne, prawda uznana przez anatomię i fizyologię porównawczą, poświadczona przez rozum, wiedzę i fakta. Uznajemy ją więc za prawdę, bez względu na przykrość, jaką z tego powodu wyrządzą naszym przesądom.“

Chcicie wiedzieć teraz, jakie jest zadanie owych dusz kręgowych? Posłuchajcie jeszcze pana Durand de Gros:

„Zadaniem ich normalnym jest: 1° funkcyonowanie za pośrednictwem duszy mózgowej; 2° wykonywanie niezależne ruchów, pełnionych już poprzednio na rozkaz wyraźny woli centralnej.“

Ależ, pytamy, wobec tych wszystkich dusz krę-

gowych i mózgowych, cóż się stanie z jednością naszego ja? Jeżeli, jak chcą niektórzy, myśl tworzy się zapomocą tysięcy komórek psychicznych, w cóż się obróci zwierzę lub człowiek, uważane jako indywiduum, jako jednostka, jako całość?

A jednakże do takich-to rezultatów doszła obecnie fizyologia, zwana doświadczalną, a właściwie psychologia porównawcza, będąca jeszcze w kolébee. Idzie teraz o to, czy filozofia w ścisłym tego słowa znaczeniu zechce podać rękę swą młodszej siostrze, błędzącej dotychczas po bezdrożach, lub czy zachowując się biernie, ulegnie z czasem jej przewadze? Od kilku już lat fizyologia dąży do zmniejszenia władzy filozofii spekulatywnej i chce jej wydrzeć obszar umysłowy i moralny, na którym ta ostatnia prawie sama jedna dotychczas panowała. Przyszłość pokaże, jakie z tąd wynikną skutki. Co do mnie, wierzę silnie, że sojusz obu nauk obfite wydać może owoce i całą mocą duszy pożądam go i przyzywam.

Streścimy teraz w kilku słowach to, co dotąd było powiedzianem.

Z faktów i zdań przytoczonych wypływa, że instynkt jest to siła wrodzona, w ogóle niezmienna i nieomylna, zapomocą której większa część zwierząt, bez nauki i bezwiednie, wykonywa czynności nader zawile, a zupełnie prawidłowe.

Zatém czynności instynktu są automatyczne, lecz do nich przyłącza się nieraz i inteligencja, przychodzi instynktowi w pomoc, a wtedy trudno rozróżnić, jaki właściwie udział w czynności na każdą z obu tych sił przypada.

Z kolei łączy się z niemi przyzwyczajenie i wytwarza czyny, które, wynikając pierwotnie z woli i nauki, stają się następnie czysto automatycznymi (automatyzm następczy Carpentera), a co więcej, podlegają prawu dziedziczności i przechodzą na potomków.

Ale instynkt właściwy, instynkt przyrodzony nie jest wynikiem przyzwyczajenia, ponieważ poprzedza naukę i przyzwyczajenie, nie jest również owocem inteligencji, ponieważ przedstawia cechy nieraz wręcz jej przeciwnie.

A więc inteligencja i instynkt, są to dwie siły odrębne i całkowicie różne: jedna jest w najwyższym stopniu wolną, zdolną do doskonalenia się i samowiedną; druga jest ślepą, niezmienną i fatalistyczną.

U człowieka przeważa inteligencja, u zwierząt instynkt. Wszelako zwierzę, ograniczone do samego tylko instynktu, byłoby mało co wyższem nad niektóre rośliny, jak czulek, muchołówka, dzbanecznik i inne, nazwane przez Hookera i Darwina roślinami mięsożernymi, ponieważ zdolne są do chwytania zdobyczy zwierzęcej i przyswajania jej swemu organizmowi zapomocą czynności nader podobnej do trawienia.

Oprócz instynktu, tego przewodnika prawie zawsze nieomylnego, większa część zwierząt posiada inteligencją, nie ową inteligencją wyższą, zwaną rozumem, zapomocą którego, jak mówi Jouffroy „człowiek pojmuje sam siebie i otaczające go przedmioty, oraz stosunek ich przyrody do swojej“—ale inteligencją niższego pokroju, wystarczającą im do rozpoznania przedmiotu ich żądzy lub potrzeby. Inteligencja ta—lubo słaba i nierozwinięta—umie jednakże wybierać sposoby dla dopięcia celu: równie jak nasza rodzi się i rozwija; jak nasza, jest omylną i doskonali się; ale przy tém wszystkiem zakres jej doskonalenia się jest nader ciasny, brak jej twórczości i zazwyczaj daru zastosowania praktycznego.

Wbrew zdaniu niektórych zbyt uprzedzonych filozofów, twierdzimy że to przyznanie zwierzętom inteligencji, to porównanie obu sił nie czyni uszczerbku naszej godności; przeciwnie, wyższość nasza umysłowa i moralna tém większego nabiera blasku wobec poziomych czynności zwierzęcia, oddanego na pastwę swoim instynktom, popędowi i wrażeniom, a posiłkującego się inteligencją w ciasnym tylko obrębie, lubo zastosowanym do celu, jaki zwierzę chce albo powinno osiągnąć.

Psychologia porównawcza nie posiada dotychczas słownika, zapomocą którego moglibyśmy wyrazić podobieństwa lub różnice, zachodzące

przy porównywaniu obu inteligencji, którym teraz się zajmujemy. Wobec tego braku powiemy tylko, że wedle nas zwierzęta posiadają:

Uwagę, wrażenie, myśl bezpośrednią czyli spostrzegawczą, myśl pośrednią czyli zapamiętaną, a w następstwie tego pamięć, wspomnienie, porównanie, sąd i rozumowanie.

Możemy również przypuścić u zwierząt istnienie żądz, uczuć i namiętności. Wbrew twierdzeniom Darwina, odmawiamy im tylko stanowczo zmysłu estetycznego, zmysłu moralnego, a tém bardziej zmysłu religijnego. Ale natomiast zwierzęta posiadają dźwięki, odgłosy nawołujące, mimikę nader wyrazistą, a nakoniec mowę, jaknajdokładniej zrozumiałą dla wszystkich istot jednego gatunku, a niekiedy nawet i dla gatunków pokrewnych.

Idzie teraz o to, ażebyśmy na twierdzenia nasze złożyli ile możności przekonywające dowody.

III.

Inteligencja zwierząt, lubo o wiele niższa od naszej co do stopnia rozwoju, jest jednakże pod względem swęj natury całkowicie do niej podobną.

Organa któremi się posługuje, sposoby których używa, są takie same, lub przynajmniej podobne bardzo do naszych. To twierdzenie, mające dziś tylu zaciętych przeciwników, zyskiwało uznanie Buffona, gdy zapominał o Sorbonnie i swoich bezdrożach filozoficznych; tego twierdzenia bronił Dureau de la Malte, pół wieku temu, w Instytucie francuzkim; w tymże samym prawie czasie objaśnił je Cuvier w sposób następujący:

„U zwierząt wyższych dostrzegamy pewien stopień rozumowania, ze wszystkiemi jego dobrami lub złemi skutkami; o ile się zdaje, jest on prawie taki sam, jak u niemowląt. W miarę zniżania się ku zwierzętom bardziej oddalonym od człowieka, zdolność ta słabnie, a w rodzajach ostatnich, najniższych, widzimy już tylko oznaki wrażliwości, nawet wątpliwe niekiedy, to jest wątle ruchy, czynione w celu uniknięcia bólu. Między temi dwiema ostatecznościami stopniowanie przeciąga się w nieskończoność.“

Toż samo mniej więcej powiedział Claude Bernard, w przemowie mianej przy wstąpieniu do akademii francuzkiej.

Prawdy te atoli nie są dotychczas ogólnie uznane, i dlatego pragnę ich dowieść na podstawie nowych dowodów, zaczerpniętych z fizyologii porównawczej, lub zyskanych z moich własnych spostrzeżeń.

Jako typ główny w roztrząsaniu tej kwestyi weźmiemy psa domowego, zwierzę o którym Buffon powiedział, że „jest godnym towarzyszem człowieka“—zwierzę które jest nieodstępny naszym i wiernym sługą, a nieraz jedynym i ostatnim przyjacielem.

Oprócz psa, zastanowimy się nad niektórymi innymi zwierzętami ssąciami, z rodzajów lepiej znanych. Pomiędzy natomiast inne rzędy i rodzaje królestwa zwierzęcego, wychodząc z tej zasady, że w kwestyach tego rodzaju nie ilość faktów, lecz ich wybór stosowny i dokładne zbadanie doprowadza do celu.

Aby ten cel osiągnąć, czyli aby dowieść przeciwnikom naszych poglądów, że w gruncie rzeczy oni sami nie uznają zwierząt za same tylko maszyny, dość będzie gdy im przypomnimy ich własne postępowanie z kotem pieszczochem, z psem lub koniem hodowanym i że tak powiemy wychowanym.

Jeśli zaprzeczają inteligencji tych stróżów i sług domowych, to czemuż, chcąc aby ku nim się zbliżyli, wołają na nich? czemuż ich łają lub karzą w razie przewinienia? To postępowanie względem zwierząt zaprzecza stanowczo ich własnym zasadom; jest to rażąca sprzeczność między praktyką a teorią.

(Dalszy ciąg nastąpi).